Numer 1. Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 5 Stycznia 1930



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Co lepsze.

Pani Krzywicka urządziła mężowi scenę. Zmęczona siadła wreszcie.

— Och! — jęczy — Wołałabym być w niebie u mojej kochanej mamy!

— A ja, rzecze pan Krzywicki, wolałbym siedzieć przy flaszce wina w szynku!

— Naturalnie, ty egoisto! Ty zawsze dla siebie wybierasz coś lepszego!



Różnica.

Cudzoziemiec spaceruje po Londynie i doszedłszy do Leicester Square, pyta pierwszego przechodnia, jaką drogą ma dostać się do pewnej oddalonej ulicy.

Zapytany, myśli i wreszcie:

— Trudno mi odpowiedzieć panu dokładnie.

— No, ale pan sam, dajmy na to, ileby potrzebował czasu?

— Godzinę w tygodniu, a 10 minut w niedzielę.

— Czemu taka różnica?

— W niedzielę wszystkie bary są zamknięte.

W cyrku.

Rzecz dzieje się w cyrku:

— Prędko! Lekarza!

— Co się stało?

— Artysta nasz, który połyka miecze, zadławił się ością ze śledzia.

Rozmowa zakochanych.

— Franiu! A czy skoczyłbyś ty za mną w ogień?

— A poco? Czy to ja strażak.

W komisarjacie.

— Jak się pan nazywa?

— Nazywam się Krótko.

— Ja się nie pytam, czy długo czy krótko, tylko jak?

— Mówię pan Krótko.

— Do ciężkiej cho... Gadasz pan, czy pan nie gadasz, jak się pan nazywa?

— A ja panu odpowiem do jeszcze cięższej cho... że się nazywam Krótko Marcin i już.

W tem sęk.

— Co słychać?

— Bieda, golizna. Znikąd pieniędzy wydobyć nie mogę.

— I martwisz się? Wszyscy mówią, że masz bogatego wuja, że siedzi na pieniądzach?

— —Co mi z tego, że on siedzi, kiedy ani na chwilę nie chce wstać.

Myśliwy.

— Icuś, jak ci poszło polowanie; czy zabiłeś choć jednego zająca?

— Zabić nie zabiłem, ale jednego śmiertelnie przestraszyłem.

Numer 1. Rok XIII. Kraków dnia 5 stycznia 1930



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 55 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500.868.

Z NOWYM ROKIEM.

I znów mamy poza sobą jeden rok życia więcej i jeden rok pracy, Drobiazg to wobec wieczności, ale w stosunku do życia ludzkiego kawał czasu nie mały. Dziś przychodzi nam zdać rachunek i przed sobą samym i przed naszymi Czytelnikami, jak tego czasu użyliśmy. Patrząc w przeszłość, jakieś uczucie wewnętrznego zadowolenia przyjmuje serca nasze, żeśmy czasu tego nie stracili na marne, ale zużytkowali go na chwałę Bożą i pożytek społeczeństwa. Świadczy o tem nietylko nasze wewnętrzne przekonanie, ale i te stosy listów, wystosowane do nas w ciągu ubiegłego roku z słowami uznania i wyrazami prawdziwej przyjaźni. Świadczą one, żeśmy dobry kierunek wybrali, żeśmy zdołali wzbudzić zainteresowanie u szerokich mas czytelniczych i żeśmy je potrafili zadowolić.

Patrząc w przeszłość, patrzymy i w przyszłość z otuchą, bo gdy innym gazetkom w ciągu ubiegłego roku ubyło setki i tysiące czytelników, to koło przyjaciół „Roli" coraz bardziej się rozszerza, a liczba Czytelników jej z każdym dniem wzrasta. Na wzrost ten składają się dwie przyczyny. Po pierwsze, że „Rola" treścią swoją potrafi każdego zadowolić, każdy w niej znajdzie dla siebie coś ciekawego, a niczyjej czci nie szarpie i nikogo nie szkaluje. Gdy inni na sobie „psy wieszają", gdy inni rozdrapują rany swych bliźnich, „Rola" swym łagodnym tonem stara się leczyć błędy i wady ludzkie. To jeden powód, a drugi to jej taniość. Wspominaliśmy już nieraz, że inne gazetki ludowe za 10 złotych rocznie dają cztery karteczki ujadań i wyzwisk swych współbraci, podczas gdy „Rola" za 12 zł. rocznej prenumeraty daje 10 kartek druku o treści zajmującej i pouczającej.

Doświadczenie lat kilkunastu poucza nas, że kierunek pisma i jego układ był dobry, dlatego też i w rozpoczynającym się roku zatrzymamy go nadal. Co i kiedy w przyszłym roku będziemy drukowali, trudno nam już dziś oznaczyć, w ciągu roku bowiem możemy otrzymać tyle rzeczy dobrych, że te które już mamy przygotowane, będą musiały odpaść. W każdym razie układ gazetki się nie zmieni. A więc w artykułach wstępnych będziemy omawiali najważniejsze problemy życia naszego i sprawy związane z chwilą bieżącą. Dwie dłuższe powieści, z nich jedna ilustrowana, utrzymają ciągłość wydawnictwa. Po ukończeniu pierwszej powieści p. t. „Smok", zamieścimy jej część drugą p. t. „Krak" tego samego autora. Jako drugą powieść damy nadzwyczaj zajmującą powieść p. t. „Zaklęty dwór" specjalnie dla „Roli" opracowaną.

Z tak wielkiem zainteresowaniem czytane „Podróże po dalekich krajach" bogato ilustrowane, zatrzymamy i w roku bieżącym, oprowadzając Czytelników naszych po wszystkich częściach świata.

Cały szereg krótszych powiastek, opowiadań, bajek, humoresek i t. p. będą przez cały rok urozmaicać bogatą treść „Roli". Wiele z nich będzie z obrazkami.

Przez jednych ukochany, a przez drugich znienawidzony Maciuś będzie i nadal nadsyłał nam swe tygodniowe „gadania", a jeżeli czasem ugryzie kogoś, to sercem ugryzie, a gryzienie takie jest dla nikogo nieszkodliwe.

Kronika przyniesie Czytelnikom naszym wiadomości nietylko z kraju, ale i z całego świata, omówi najważniejsze zdarzenia i wypadki, jakie w danej chwili zajdą. Pomimo że nie będzie w niej osobnego działu politycznego, boć „Rola" nie jest pismem politycznem, nie pominie przecież na swych łamach i wydarzeń politycznych, omawiając je bezstronnie.

W „Poradniku gospodarczym" w krótkich artykulikach poruszymy najważniejsze zagadnienia z życia gospodarczego, omawiając hodowlę pszczół, zwierząt domowych, prowadzenie sadów, uprawę roli

i t. p. tak, aby treścią gospodarczą gazetki nie przeciążać, a przecież w każdym numerze dać Czytelnikom coś, co w życiu praktycznie wykorzystać mogą. Dział ten będziemy uzupełniali poradami lekarskiemi z życzeniem, aby nasi Czytelnicy jak najmniej z nich byli zmuszeni korzystać.

Tyle jest rzeczy ciekawych na świecie, o których z nas niejeden najmniejszego pojęcia nie ma. To też i tę rubrykę będziemy prowadzili nadal, zaznajamiając naszych Czytelników z tem, o czem prawdopodobnie nie wiedzieli, a skądinąd nie dowiedzieliby się.

Nie bezcelowym jest też dział zagadek. Wprawdzie są tacy, którzy twierdzą, że na zagadki szkoda miejsca. A przecież tak nie jest. Zagadki są bowiem nietylko godziwą i miłą rozrywką, ale są one także nadzwyczaj korzystną gimnastyką umysłu. Przez rozwiązywanie zagadek umysł staje się elastyczniejszy, giętszy, łatwiejszy do przyjmowania innych przejawów życia ludzkiego. Rozwiązujący zagadki ma z tego korzyść podwójną: kształci umysł i spędza czas mile przez niejedną godzinę. A jeżeli jeszcze dodamy do tego, że za swój przyjemny trud może uzyskać nagrodę w postaci książki, to korzyść ta jeszcze się powiększy.

Jeżeli zważymy wszystko to, cośmy wyżej powiedzieli, to przekonamy się, że drobna kwota prenumeraty za „Rolę“ jest niczem wobec tych korzyści, jakie ta „Rola“ daje. A to, cośmy powiedzieli, to jeszcze nie wszystko, bo „Rola“ w miarę wzrostu liczby prenumeratorów będzie się ulepszać tak co do jakości zawartego w niej marterjału, jak i co do zewnętrznego wyglądu. Ażeby zaś tak było, to zależy to już od samych naszych Czytelników. Jeżeli chcą oni, aby ta „Rola“ się powiększała i ulepszała, to niechże rozszerzają ją w jak najszerszych kołach swoich znajomych, niech zachęcają do jej zaprenumerowania, a przysłużą się nietylko nam, ale i sobie samym. O jak najgorętsze poparcie naszych usiłowań prosimy Czytelników naszych w tym Nowym Roku. *Redakcja i Administracja »Roli«.*

Życzenia Noworoczne.



Z życzeniami lepszej doli
Do Was Czytelnicy »Roli«,
Do Was, polscy gospodarze.
Z Nowym Rokiem idę w parze.
Niosę życzeń pełną czaszę,
W owe ciche wioski Wasze,
W owe niskie Wasze progi,
Choć śnieg prószy, choć mróz srogi,
Gospodarzom życzę w polu
Sto kóp żyta — bez konkolu,
Wszelkich zbóż zaś setne plony,
Niech im dadzą ich zagony.
W każdym kącie i w oborze.
Niech dobytek się im mnoży.
Niech się przez rok im nie zdarza
Ani razu mieć lekarza.
Każdej znowu gospodyni
Życzę płócień pełną skrzynię,
Od krów mleka, zawsze, ninie
Ile wody w Wiśle płynie.
Kury niech jaj tyle zniosą,
Ile ziarn ma w kopie proso,
Bobu, grochu taki statek
Aby było na podatek.
A młodzieńcom i dziewicom;
Niech się w świecie cnotą szczycą,
Niech rozumem i pilnością —
Służą Polsce swej z radością.
Szczęścia wszego podostatkiem!
Niech Pan chroni przed przypadkiem
Wszystkich ludzi dobrej woli.
Miljon czytelników »Roli«.

J. Kapuściński.

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

XI.

Pomiędzy drzewa i krzewy świętego gaju, we mgle, kierując się instynktem w stronę północną, szedł rozgoryczony na niezgodę Starżów Bojan Jaksa i przemyśliwał, jakby pomścić Salwidę.

Skostniały od rannego chłodu, stawiał machinalnie sztywne nogi, potykał się na korzeniach drzew i zajęty sam sobą nie zważał wcale na otoczenie.

Nagle doleciały jego ucha jakieś szmery.

Przystanął i nadsłuchiwał.

Trzask gałęzi, deptanych stopą, szmer odchylanych liści i ciche szepty wyraźnie dochodziły go przez mgłę od strony Wisły.

— Zwierz albo nieprzyjaciel? — pomyślał i schował się w gęsty krzak leszczyny, osłonił się jego liśćmi i czekał.

Za chwilę wyciągnięte w długą linję ukazały się we mgle zaszyte w skóry postacie, ze strzałami na cięciwie łuku.

— To... jego ludzie....

Poznał ich i zbladł.

Dech zaparł w piersi, skurczył się, ale śledził ich kroki.

Otarli się o krzak leszczyny, że strząsnęli zeń rosę, obficie osiadłą na liściach, obryzgali mu nią twarz i zniknęli pomiędzy drzewami.

— Gdzie dążą?... Czyżby?... Ale nie!...

W gaju świętym są nietykalni i żaden wróg nie skalałby przybytku bogów krwią człowieka i to jeszcze takiego, co przyszedł na wiece.

Ostrożnie wysunął się z ukrycia i przystanął na chwilę.

Nagle, rozdarł powietrze przerażający okrzyk: „Starża!“

Ze zgrozy i przerażenia zatrząsł się cały. Rękami złapał się za głowę i nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, począł biec przed siebie.

— Biada nam biada! — szeptał.

Minął gaj, potem przez gęste zarośla, po łagodnem zboczu góry, zbiegł na mokradło i brnąc w rdzawem błocie, pomiędzy kaczeńcem i liljami wodnemi, pędził jakby goniony.

Nagle przystanął.

— Zamiast iść im z pomocą, uciekam! — szepnął do siebie.

I zawrócił.

Tą samą drogą wszedł do świętego gaju.

Wiatr zerwał się od wschodu i przyniósł zapach spalenizny.

— Źle!....

Ostrożnie podszedł bliżej i widział, jak Seming zastąpił drogę Krakowi, słyszał rzężenie konających Starżów i krzyki atakującej tłuszczy.

Wkrótce poznał, że na nic zda się jego pomoc, więc skręcił i poszedł z powrotem na moczary.

Przebył je, wszedł na wzgórze pokryte bujną roślinnością, wślizgnął się w gąszcz i usiadł pod drzewem, głowę wsparł na dłoni i dumał.

Nie rozpaczał za Salwidą, ani za Sławojem, ani Wilją, nawet upadek grodu był mu obojętny, ponieważ ten wspólnemi siłami stanie. Lecz biadał nad

upadkiem plemienia, nad niezgodą i swarami, które cały naród popychają w niemoc.

Nie biadał, że tam na Tynie dali życie starcy, lecz serce ściskał mu żal, żal do tych poległych, że nie stanęli na pierwsze zawołanie na wiece, że wymawiali się złą wróżbą i błachemi przeszkodami, a kiedy wreszcie zasiedli u świętego ogniska, zawiść i osobiste cele rozbiły ich na partje. Miał do nich wielki żal, że nie potrafili nic złożyć ze swego ja na ołtarzu ojczyzny, chociaż wiedzieli wszyscy, że czasu na swary nie stało, wkońcu za ich obojętność, upartość i brak poczucia obowiązku, wobec tej ziemi, co ich żywiła.

— Ha!... Może i lepiej, że się tak stało!... Jednostki co sieją niezgodę i ci, co nie dorośli do swoich zadań, lepiej że szczezną, jakby przez ich ocalenie miał cierpieć cały naród...

— Lecz co począć? Ludu zdolnego do broni po osadach moc, lecz kto ich na wroga powoła, kto im wskaże miejsce zborne, i kto stanie na ich czele, kiedy gród runął, a starsi w niezgodzie przyłapani, wyrżnięci....

Jęknął z rozpaczy, cisnął się na wilgotny mech i w bezradzie targał włosy na głowie i brodzie.

Po chwili dopiero usiadł spokojniejszy.

— Niema widać rady i trza będzie ustąpić miejsca innemu ludowi! — szeptał do siebie. Ale nim to nastąpi, tymczasem moją krew pomszczę! — i zgrzytnął zębami.

Powstał i zeszedł nad Wisłę.

W zaroślach poszukał tratwy, zbitej z okrąglaków, na którą wsiadł i popłynął na drugi brzeg rzeki.

Zaczepiwszy pomiędzy zarośle tratwę, wyskoczył na brzeg i skierował swe kroki w stronę wysokiej skalistej ściany, w której dość wysoko nad zaroślami, znaczyła się czarną plamą czeluść pieczary.

Oparty o ścianę skały rozsochaty pień drzewa zastępował drabinę, po którym zręcznie wdrapał się na górę i wszedł do jaskini.

Zaraz na wstępie ucałował mu rękę jakiś młody człowiek i pociągnął go w głąb pieczary, która niebawem rozszerzała się nagle, tworząc obszerną komnatę, z niszami i fantastycznemi zagłębieniami.

— Siadajcie stryku i pożywajcie, co bogowie dali! — mówił do Bojana i sadzał go gościnnie na ławie, u z głazów ustawionego stołu, podsuwając mu kubek z miodem, suszone ryby i czarny jęczmienny chleb.

Z głębi wyszła młoda niewiasta, z konopną kądzielą w rękach, a za nią troje nagich, o długich pokudlonych włosach dzieci, które z uszanowaniem całowały krewniaka ręce.

Pieczarę zajmował starszy brat Bojana, Wisław Jaksa, ze swoim synem Rosławem.

Wisław, jako starszy rodu, blisko spokrewniony ze Starżami na Tynie, poszedł wczoraj do grodu na opolne wiece.

Był on podobnie jak Bojan owdowiały, ale nie brał drugiej małżonki, tylko syna jedynaka chował sam, a kiedy dorósł, wyprosił mu małżonkę u Starżów, a sam cieszył się wnukami, których za lat trzy trzech dała mu Starżanka.

Bojan usiadł, lecz podanych przysmaków nie tknął, tylko ponuro patrzał przed siebie.

Rosław stanął na środku u ogniska i niby to poprawiał ożogiem węgielki, a niespokojnie poglądał na stryka, którego wygląd zaczynał go niepokoić.

Niewiasta zabrała dzieci i znikła w cieniach pieczary, a Rosław niespokojny zbliżył się do Bojana, i aby przerwać gniotące ich milczenie, zapytał nieśmiało:

— Już po wiecu?

— Ano już! — rzekł jakimś zmienionym głosem Bojan.

— Ojciec jakoś nie wraca!... Kazał, aby nie opuszczać przed jego przybyciem ogniska, bo pewnie, że trzeba zbrojno, przeciwko smokowi...

— I nie wróci! — przerwał mu Bojan.

Poczem powstał, ujął go za rękę i zaprowadziwszy go do wylotu jaskini, rzekł:

— Patrz!....

Naprzeciw nich, na drugim brzegu, na wzgórzu, ponad wierzchołkami świętego gaju, ogromny słup czarnego dymu buchał ku górze.

— Co to jest?... Pożar?... Trza biec na ratunek! — zawołał Rosław, widząc pożar na Tynie.

— Daj pokój!... Pomoc tam niepotrzebna..... Raczej nam pomyśleć trzeba, aby złego uniknąć!....

— Domyślam się!... Smok ich ujął, a Tyn spalił!...

— Gorzej! — rzekł ponuro Bojan.

— Zginęli?...

— Wszyscy zginęli!...

Jęknął, rękami złapał się za głowę, wreszcie cisnął się na klepisko i bił głową o głazy.

— Jaksa! — zawołał nagle Bojan i upadł plackiem obok tarzającego się w rozpaczy Rosława.

Z szumem fal Wisły, doleciał ich plusk wioseł.

Przysunęli się do krawędzi urwiska i popatrzeli na rzekę.

Jedna za drugą, długim szeregiem płynęły łodzie, wysoko naładowane cennemi skórami, kruszami soli i bronią.

Bojan wytężył wzrok i liczył:

— Jedna, dwie... dziesięć... piętnaście, aż urwał, i rozszerzonemi źrenicami patrzał, jak obłąkany.

Łódź, napchana po brzegi, nagimi, o rozkudlonych włosach dziećmi, ukazała się przed nimi.

— Na pożarcie smokowi! — jęknął Bojan i zakrył twarz rękami.

XII.

Rankiem drugiego dnia pomiędzy zarośla gęstego podszycia boru, na Wawelu, skradał się Bojan Jaksa, a za nim Rosław.

Przystawali co chwilę, łowili uchem dolatujące ich szmery obozowiska Normandów i ściskali w dłoni oszczepy i łuki.

Bojan blady, z zaciśniętemi zębami, śledził uważnie otoczenie, i badał każdy szmer, spowodowany spłoszoną zwierzyną.

Od czasu do czasu, ocierał rękawem parcianej koszuli kroplisty pot z czoła, i targany wewnętrznym bólem, zgrzytał zębami, stękał i szarpał obszywkę koszuli u szyji.

— Dajcie mi bogowie sposobność do zemsty za moją krew, a potem weźcie mi życie! — szeptał. Ty potężna Żywjo, użycz mi swej mocy!... Albo Ty, mściwa Marzanno pomóż mi, a złożę ci tego potwora i wkońcu siebie w ofierze!.... Ty..., co tak lubisz brać życia, pomóż!.... chcę ci przecież być narzędziem, w Twem zbożnem dziele mocna Marzanno!.... nie pozwól, aby obcy najeźdca, mącił w Twoim władaniu!...

— Stryku! — szepnął nagle Rosław i pociągnął go za rękaw. Przyczem wskazał pomiędzy zarośla.

Przed nimi ukazał się wysoki, upleciony z gałęzi płot. A za nimi pod drzewami sklecone z choiny szałasy.

— Obóz! — szepnął Bojan, i przysiedli obydwaj, namyślając się, co czynić.

Po krótkiej naradzie zaczęli pełzać na czworakach wzdłuż płotu, starając się ukryć w zaroślach i trawie.

Z początku rzadko, potem coraz częściej, wypatrywali zbrojne postacie, aż wkońcu napotkali wolniejsze miejsce od drzew, w formie dosyć rozległej polany, na której zgromadzona stała większa ilość ludzi.

Płot, grodzony ze świeżych z liściami gałęzi, tworzył dostateczną zasłonę, że mogli bezpiecznie podsunąć się pod niego i szparą zaglądać do środka.

Ogromne kupy skór bobra, sobola, wilka i niedźwiedzia, leżały na podeptanej trawie, a obok krusze soli i broń.

— Łupy zrabowane na Tynie! — szepnął Rosław.

— Dobra nasza!... Nastąpi znać podział, to pewnie i smok się ukaże — odpowiedział Bojan. — A wtedy... i urwał.

Oczy mu błysły ogniem, a oszczepem potrząsnął znacząco.

— Pomóżcie bogowie, pomóżcie! — szeptał tylko, i wysilał wzrok, czy nie zobaczy pomiędzy wojownikami Seminga.

Wzdłuż płotu, od wewnątrz obozowiska, przechadzał się zbrojny w miecz i oszczep mąż, postawiony na straży, lecz nie domyślał się zasadzki, bo parę razy minął ich kryjówkę, odchodząc za każdym razem spory kawałek w jedną i drugą stronę.

Nagle gwary umilkły, wojownicy uszykowali się wokoło nagromadzonych łupów, a pomiędzy drzewa mignął opasły kadłub Seminga.

— Idzie! — szepnął Rosław, a Bojan drgnął i poprawił oszczep.

— Bogi pomóżcie!...

Seming, odziany w długą opończę, z rogami tura na głowie, z mieczem u boku i krótkim nożem za pasem, stanął pomiędzy swoimi ludźmi i w niezrozumiałym dla nich języku wydawał jakieś rozkazy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Święty Sylwester.

Wiadomo, że ostatni dzień w roku poświęcony jest imieniowi tego świętego. Dzień ten, a raczej noc ze starego na nowy rok obchodzona bywa szeroko i daleko w sposób hulaszczy, wesoły, głośnemi zabawami, nieraz nadmierną pijatyką. A zabawy te, ponajwiększej części grzeszne, łączą najniesłuszniej z imieniem św. Sylwestra, boć przecie św. Sylwester był ich najzaciętszym wrogiem.

A rzecz miała się tak:

Pod koniec grudnia obchodzili pogańscy Rzymianie przez cały tydzień pogańskie igrzyska i uroczystości, nazwane „Saturnalia" od boga pogańskiego Saturna. Pierwotnie uroczystości te oznaczać miały owe szczęśliwe czasy, w których pod panowaniem boga Saturna panował między ludźmi pokój, powszechna wolność i równość. Podczas Saturnaliów więc urządzano gościny, obdarowywano się wzajemnie drobnemi podarkami. Odgłosem tego zwyczaju są pewnie i chrześcijańskie dary gwiazdkowe. Panowie sadzali niewolników do wspólnego ze sobą stołu, a często ich nawet sami obsługiwali. W Rzymie cesarskim, jak wszystko, tak i Saturnalia rozuzdały się i stały się zwyczajem, obrzydliwem obżarstwem i opilstwem, z towarzyszącemi tymże innymi wybrykami. Przeciw temu biskup Sylwester, który rządził rzymską stolicą biskupią od roku 315 do 335, a umarł dnia 31 grudnia, rozpoczął walkę i aby chrześcijan odciągnąć od tych plugawych biesiad, kazał otwierać kościoły i odprawiać wieczorne nabożeństwa.

Imię Sylwestra nie powinno nas więc wabić do „Sylwestrowych" zabaw i biesiad, ale raczej powinno nas nastroić do poważnego rozważania uroczystej chwili przejścia ze starego do nowego roku.

Lecz imię Sylwestra, połączone jest w historji Kościoła chrześcijańskiego jeszcze z inną bardzo ważną rzeczą, mianowicie z przyjęciem wiary chrześcijańskiej przez cesarza Konstantyna. Konstantyn, przy objęciu panowania jeszcze poganin, prześladował chrześcijan. a szczególnie księży, tak, że się często musieli ukrywać w górach i lasach. Tak ukrył się też biskup Sylwester z poddanymi sobie księżmi.

O nawróceniu się Konstantego opowiada podanie, co następuje:

Konstanty został dotknięty ciężką chorobą, mianowicie trądem. Wszelka sztuka lekarska okazała się zawodną. Gdy mu nic nie mogło pomóc, kapłani pogańscy dali mu szatańską radę, aby się wykąpał w krwi młodych chłopców chrześcijańskich, poczem choroba zaraz ustąpi. Wkrótce na rozkaz cesarza zebrano wielką ilość chrześcijańskich dzieci, które miano zabić na ową kąpiel dla cesarza. Już cesarz siadł na wóz, aby jechać na miejsce, gdzie ta okropna kąpiel miała mu być nagotowana. Na drodze zebrały się matki onych dzieci, z głośnym lamentem, z rozpuszczonemi włosami, padały na kolana, rzucały się pod kopyta koni, zawieszały na koła wozu cesarskiego, wołając litości i miłosierdzia. To wzruszyło cesarza do łez, tak, że kazał wóz zatrzymać i stanąwszy w wozie, rzekł: „Cóżby nam pomogło, żeśmy zwyciężyli barbarzyńców, gdybyśmy sami popadli w barbarzyństwo? Lepiej, że umrę, niżbym miał przez takie okrucieństwo splamić moje życie". Następnie kazał cesarz wrócić matkom ich dzieci, i hojnie obdarowane bezpiecznie odesłać do domu.

Następnej nocy miał cesarz sen. Objawili mu się we śnie apostoł Piotr i Paweł i rzekli do niego: „Ponieważ oszczędziłeś niewinne dziatki, więc posłał nas do ciebie Pan nasz Jezus Chrystus, abyśmy ci poradzili, jak możesz wyzdrowieć. Na górze Seraptis ukrywa się biskup Sylwester, po tego poślij, on ci pokaże wodę, w której trzykrotnie zanurzony odzyskasz oczyszczenie od trądu i zdrowie. Gdy wyzdrowiejesz, nie zapomnij o powinnej wdzięczności dla Jezusa Chrystusa: wyrzecz się pogaństwa, a zostań chrześcijaninem!"

Skoro się cesarz przebudził, zaraz posłał posły za Sylwestrem. Ten, nie wiedząc o niczem, sądził, że idzie na śmierć. napominał i pocieszał swych towarzyszy, a poleciwszy duszę Panu Bogu, poszedł z otuchą za żołnierzami. Gdy przyszedł do pałacu cesarskiego, przyjął go cesarz bardzo uprzejmie i opowiadał mu swój sen. Sylwester udzielił mu nauki wprawdzie chrześcijańskiej i niebawem zaprowadził go do wody, w której się cesarz po trzykroć zanurzył. Gdy wyszedł z wody, był od trądu swego oczyszczony. To stało się według podania dnia 31 grudnia.

Z SZOPKĄ — PO KOLENDZIE.



Od dawien dawna panuje u nas zwyczaj, że w okresie od świąt Bożego Narodzenia, aż po dzień Matki Boskiej Gromnicznej, a więc przez ostatnie dni grudnia i cały styczeń, chodzą młodzi z szopką od domu do domu. Zwyczaj ten jest szczególniej rozpowszechniony w okolicach Krakowa, a szopki są tam najokazalsze.

Kolendnicy, przybywszy do jakiegoś domu z szopką, ustawiają ją na dwóch krzesłach, lub na ławce, sami zaś wraz z muzyką umieszczają się poza szopką, w której znajdują się figury Dzieciątka Jezus, Marji Panny, św. Józefa, pasterzy, a nawet Trzech Króli.

Odsłania się kurtyna, zza kulis wysuwają się teraz figury, poruszane rękami osób, znajdujących się poza szopką. Ruchom lalek towarzyszą odpowiednie śpiewy, względnie djalogi, często bardzo komiczne, pobudzające widzów do ciągłego śmiechu.

Od treści śpiewów i djalogów zależy w wysokim stopniu powodzenie szopki.

Gromada młodzieży chodzi od domu do domu,

powtarzając swe „przedstawienie“ nieraz i kilkanaście razy na dzień, otrzymując za to mniejsze lub większe datki.

Jakże należy się zachować wobec tych przedstawień? Nie można zaprzeczyć, że zwyczaj to ładny i należałoby go usilnie popierać, gdyby zebrane pieniądze szły na cel użyteczny. I tak też dzieje się po największej części. Z szopką po kolendzie idzie młodzież uboga, składa przez cały miesiąc grosz do grosza, aby wkońcu, podzieliwszy się nim, kupić sobie czy to bucięta, czy jakąś część przyodziewy. Takim kolendnikom nie należy skąpić grosza, ale powinno się ich trudy szczodrze wynagrodzić. Niechże biedactwa mają jaki taki zysk za swoją pracę. Inaczej rzecz się ma, jeżeli po takiej kolendzie chodzą młodzieńcy zamożni, lub tacy, którzy uzyskany w ten sposób grosz obracają na pijatyki lub pohulanki. Przed takimi należałoby drzwi zamknąć przed nosem, aby nie wyłudzali od nas ciężko zapracowanego grosza.

Na obrazku naszym widzimy takich kolendników z szopką. Idą wśród zaśnieżonej wsi, pokuleni od zimna, niosąc swój drogi ciężar, którym w najbliższej chacie będą rozweselali zebranych domowników. Idą wieczorem, a pomimo że księżyc jasno przyświeca, jeden z uczestników prowadzi ich z latarką, aby gdzieś nie utknęli i drogocennej szopki nie uszkodzili.



Cięzkie jest to zycie ludzkie, a juz najcięzse po świętem pośniku. Kiedyindziej to se człek odetchnie tędy albo tamtędy i znowu się zrobi miejsce na dary boskie, a bez święta to ani rus miejsca znaleźć choćby nawet i na coś najlepsego. Człek się robi taki ociązały, jakby go całe Tatry przywaliły i nawet do jedzenia nie moze się z wyrka podźwignąć. Tak było ze mną przez te kochane święta, a jak musiało być z temi, co jem to gospodyni w gębę nie patrzy i mogą jeść, ile zechcą.

Chciałbym tak po świętach widzieć jakiego króla, cysarza, albo choćby hrabiego! Jak on wam musi smyśnie wyglądać? No ale taki bogac jeden cy drugi to se moze na wszyćko poradzić i pewnikiem kuzden z nich jesce przed wilią kaze se silne obrącki na brzusysko porobić, zabezpiecy się niemi. i choć se darów boskich nie załuje, to mu nie zaskodzą i o pęknięciu niema mowy. A jak się tego duzo w niem nagromadzi, to przepłuce się wińskiem lub piwskiem i na ciąg dalsy ma znowu miejsce. Z bidnem człowiekiem tak się zrobić nie da, bo skądze bidny człowiek ma wziąć piniędzy na pana Gieca z Okocimia? Mógłby się przepłukać ino wodą, cóz kiedy jakosik woda do garła liźć nie chce, a jakby był mróz, toby jesce w niem zamarzła i zrobiłaby się w brzuchu ślizgawica. A toby było jesce gorzej, bo przecie wiadomo nietylko prefesurowi, ale i kazdemu inksemu grzyśnikowi, ze woda przez zamarznięcie jesce bardziej powiększa swoją objętość, toby niescęśliwy człowiek jesce prędzej pęknął.

Bez ten brak przepłukania pośnikowego jedzenia tak mi wszyćkie członki ciała zmartwiały, ze zaden się rusać nie chce, a ino jeden język jako tako chodzi. Widocnie on, jako ze jeden był przy całem pośniku w ruchu, nie zmarniał do cna i jesce się jako tako trzyma.

Ciesyłem się na te święta, a ciesyłem tembardziej, ze dzieuski z Krzesowic zaprosiły mnie na Boże Narodzenie do siebie i nawet styry złote na drogę przysłały. Myślę se: będzie uzywantes, bo to przecie nie z jedną sprawa! Pisały, ze będzie ich na kolei styry na mnie cekało z ogromną tęksliwością i ze wszyćkiem, co posiadają. I którzby się nie ciesył na takie zaprosenie? Do jednej to jesce moznaby się namyśleć, ale do styrech, to nawet mądrzejsy odemnie człowiek nie namyślałby się ani miesiąca, ale siadałby cemduchu na hajzybon i pędził całą siłą pary do tych umiłowanych dzieusek. Jedna to się człekowi moze sprzykrzyć i za pół godziny, ale co styry, to styry, toby i przez styry miesiące było o cem gadać i co robić.

Ale jakze tu było pojechać, kiedy to bidne zołondcysko nie pozwalało. Com się rusył na wyrku, to tam kole, tam gniecie, ze ani wytrzymać. Mozebym się tam był i zwlókł przecie, ale gospodyni, którem opedziołem o tem zaproseniu, powiadają: Głupiś Maciek! Świńskie wagony w święta nie jezdzą, to i jakoze pojedzies, a do ludzkiego cię nie wezną, bo tam przecie wyraźnie napisane, ze cuchnących i śmierdzących rzecy w nich przewozić nie wolno.

I nie pojechałem, choć mnie do dziś dnia serce boli tak, ze ani odetchnąć nie mogę. Ale do wiesny moze z człeka cały ten pośnik wywietrzeje, to wtedy do Krzesowic, jak amen, śmignę. A do tego casu moze jesce więcej Krzesowicanek miłość do mnie w sobie wykrzese, to i będzie prędzej po co pojechać.

Najporządniejse ludzie na świecie, to pono wszyćkie prefesury, bo to nie jedzą, nie piją, a chodzą i biją. Takiem porządnem obijacem jest i nas prefesur. Ma on cułe serce na kuzdą niedolę kobiecą i kuzdą wiecorami chętnie pociesa, ale i o bidnem grzyśniku nie zapomina. Nie zapomniał tez i o mnie w moich dolegliwościach i przychodził do nasej chałpy wiecorem, jak gospodarza w domu nie było, a pociesywsy poprzódzi i gospodynię i Kaśkę przysiadał się do mnie i cytał mi wiersyk, jaki jedna dzieuska (palce lizać) ze Scakowy napisała. Naucyłem się go na pamięć i zeby nie zaginął, tu wam go powtarzam:

Kochany Maciusiu po długiem milceniu
Witam Cię serdecnie z dusą na ramieniu,
Bo się trochę boję, co tez powies na to,
Zem ja tak milcała i zwiesne i lato...

Ale widzis, Macius, ono tak to było:
U mnie nic nowego, nic się nie zmieniło,
Jeno nie wiedziałak, co Ci mam napisać,
Bo Ty raz nas kwalis, raz zaś kces powisać.

To wszyćko latego: Jak z Kaśką drzes koty,
To i na nas: huzia: wszyćkieście niecnoty!
A jak się zaś Kaśka łośmieje do Ciebie,
To nas wszyćkie kwolis, jak janioły w niebie!

Powidzze mi, Macius, cy nieprowdę gadam?
Za to, ze tak w „Roli“ świcis nam urodą,
To nosa zadziras... Zebyś nie był taki,
To ja Ci na „Gwiazdkę“ daję dwa złociaki.

Prawda, ze ładny wiersyk, ale ja wam powiadam, ze dwa złociaki były jesce ładniejse. Bo wiers, choćby był najładniejsy, to zjeść się nie da, a za dwa złote kupiłem se tutoniu i fajcyłem, jaz gospodyni z chałpy uciekli i miałem na święta święty spokój.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Zanzibar IV.

W poprzednim numerze „Roli“ pisaliśmy o handlu niewolnikami na Zanzibarze, którym trudnią się w pierwszym rzędzie Arabi. Kupcy arabscy przyjeżdżają tam po ten żywy towar i wywożą go całemi masami. Całej nędzy i okropności handlu ludźmi był i jest jeszcze Zanzibar punktem centralnym.



Karawana biednych niewolników.

Serce się wzdryga na widok tej ohydy. Ludzie skrępowani postronkami, najzupełniej, jak bydlęta, stoją całemi godzinami na targowisku, słysząc, jak się o nich Arabowie targują, o ich siły do pracy wywiadują i według nich cenę kupna oznaczają. Najmniejszy opór tych nieszczęsnych ludzi ściągnąłby na nich chłosty najokropniejsze. Stoją więc przygnębieni, oczekując losu swego, pragnąc jedynie, aby się przynajmniej dobremu panu dostali. Ale jakże to rzadko między Arabami znaleść litościwe albo przynajmniej mniej okrutne serce!

Nic zwyklejszego w Zanzibarze, jak widok długiego szeregu biednych niewolników, powiązanych za szyję i zwykle w bardzo długiej kolumnie pędzonych, jeden za drugim, przez kilku Arabów, uzbrojonych w strzelby i pręty, aby poganiać te politowania godne ofiary.

Taką przykrą scenę widzimy właśnie na naszym obrazku.

Każdy z biednych niewolników spieszy, jak może, bo wie, że gdyby za innymi podążyć nie zdołał, zarazby go pan jego zastrzelił, jako przedmiot bezużyteczny, bo niemający dostatecznej siły. To też droga takich ohydnych karawan zaznaczona jest zwykle trupami, które na miejscu gniją lub zostają pożarte przez dzikie zwierzęta.

Na biedną tę ludność murzyńską czyhają nietylko obcy przybysze, ale i sami oni się tępią. Jeżeli np. umrze naczelnik jakiegoś plemienia, to podwładni jego zwołują zaraz radę, aby się zastanowić, czy on rzeczywiście umarł, a jeżeli tak jest, to kto był przyczyną jego śmierci. Przedewszystkiem, czy umarł, gdyż nie może się im w głowie pomieścić, aby tak potężny człowiek, za jakiego uważają swego naczelnika, mógł rzeczywiście umrzeć. Rada po długich ceregielach orzeka zawsze, że naczelnik umarł, bo przecież inaczej orzec nie może, gdyż trup musiałby



Ofiary zabobonu.

zmartwychpowstać. Ale teraz zachodzi pytanie, dlaczego umarł, a właściwie kto był przyczyną jego śmierci. Po długich debatach zawsze znajdzie się ktoś, kto orzeknie, że nieboszczyk umarł dlatego, bo rzucono nań czary, i wskaże jakichś Bogu ducha winnych rzekomych przestępców.

Przestępców owych chwytają natychmiast i poddają ich próbie tak zwanej dawa. Próba ta polega na tem, że przestępcy muszą iść po rozpalonych węglach; gdyby się okazali niewinnymi, to ogień nie powinien się czepiać ich stóp. Oczywiście nigdy się to nie zdarzy i domniemanego przestępcę uważają zawsze za winnego.

Po takiej próbie przestępcy skazani są na spalenie na stosie. Stos ten muszą sobie sami przygotować. Obarczonych drzewem prowadzi rozwścieczona ludność na jakieś pobliskie wzgórze. Tu ugaszczają owych rzekomych przestępców, tańczą około nich, a otoczeni płomieniami, upojeni pombą, rozdrażnieni szalonym śpiewem pospólstwa, głuchemi uderzeniami bębna, ogłupieni widokiem męczarni, machinalnie biorą udział w uroczystości i ociężałemi głowam biją takt pogrzebowym mowom.

Ofiarą owego barbarzyństwa padają nietylko owi domniemani przestępcy, ale i ich żony i dzieci.

Straszne to jeszcze zdziczenie, a widok już nie rzeczywistości, ale nawet samego obrazka, jaki podajemy w dzisiejszym numerze „Roli“ zgrozą przejmuje cywilizowanego człowieka.

Jeżeli więc weźmiemy pod uwagę szeroko rozgałęziony na Zanzibarze handel niewolnikami, jeżeli przypomnimy sobie walki pomiędzy jednem, a drugiem plemieniem, jeżeli uwzględnimy takie barbarzyńskie sądy nad swymi współbraćmi i jeżeli dodamy do tego napady dzikich zwierząt, które rokrocznie pochłaniają tysiące ofiar z pomiędzy tamtejszych mieszkańców, to nie będziemy się dziwili, że tej ludności murzyńskiej coraz bardziej ubywa i gdyby nie działalność księży misjonarzy, którzy ich zawsze i wszędzie biorą w skuteczną obronę, dziś może z niej nie byłoby już i śladu. Tak żyje ona, ale pomniejsza się stale i może niedaleki już jest czas, że zniknie zupełnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Organiścina.

Było to w pierwszej połowie zeszłego wieku. Przy bitym gościńcu o ćwierć mili za małą wioską Ryczychową, stała karczma, cała murowana i pobita gontem, przyczem zdało się, iż umyślnie dlatego tylko wysunięto ją tuż na samo rozdroże, między obwód samborski a przemyski, aby zarówno po obydwu rozsławić się stronach.

I w samej rzeczy, w całem samborskiem i przemyskiem nie wiele szczególnych naliczyłbyś zakątków, gdzieby bodaj z imienia nie znali ryczychowskiej karczmy, bodaj ze słychu nie umieli coś powiedzieć o jej czcigodnym arendarzu. Karczma i arendarz tworzyli tu zresztą jak nigdzie jedną nierozdzielną całość, że niepodobnaby sobie ani pomyśleć jedno bez drugiego: ktokolwiek zapamiętał karczmę, musiał zaraz przypominać sobie i garbatego Chaima, zwanego Organistą. Bo nim jeszcze budynek stanął pod gontem, on już roztasował w nim swe garnce, flaszki, kwarty i kwaterki, i przechrzciwszy przyszłą siedzibę od siebie Organiściną, szynkował w niej po dzień dzisiejszy.

Garbaty Organista umiał przywabiać sobie gości, jednać przyjaciół i łaskawców, i osobliwszą na wszystkich wywierać ponętę.

Garbaty Organista był inaczej dowcipny z chłopem, inaczej z przechodzącym małomieszczaninem lub szlachcicem chodaczkowym, inaczej z prywatnymi oficjalistami. Wszystkich razem i każdego z osobna potrafił zabawić, a choć z częsta gęsta i jakieś uszczypliwe wymknęło mu się słówko, to padało ono zawsze na karb kogoś nieobecnego. Przebiegły żyd, jak ognia unikał w oczy wszystkich uszczypliwości, a jakby przeczuciem odgadywał zawsze co i kiedy należy pominąć.

W izbie szynkowej panuje niesłychany hałas i wrzawa. Na popołudniową pogadankę świąteczną zeszła się wszystka gromada ryczychowska do Organiściny i zajęła cały główny stół.

Na pierwszem miejscu oczywiście rozparł się wójt z należytą powagą, za nim rzędem podług wieku i mienia celniejsi zasiedli gospodarze.

Garbaty Organista ze zwichniętą na bakier czapeczką snuje się z miejsca na miejsce i wnet temu, wnet owemu ze sporej blaszanej przylewa manierki. Już to po swoim zwyczaju dla wszystkich jest niezmiernie uprzejmy, ale szczególniejszą jakąś cześć i uwagę poświęca człowiekowi, co tuż przy boku wójta siedzi za stołem, a właściwie zdaje się rej wodzić w zgromadzeniu. Wszyscy słuchają bacznie na jego słowa i jak się zdaje, raczą się jego traktamentem.

Ze stroju jego i powierzchowności widać, że nie należy wcale do gromady. Jestto nie młody już, silnej i krępej budowy człowiek, w czarnym, okrągłym kapeluszu na głowie i krótkiej, szerokim rzemieniem przepasanej siermiędze zwyczajnego szarego koloru. Małe czarne plamy mazi rozsiane hojnie po twarzy, rękach i całej odzieży, każą się domniemywać w nim jednego z owych wiejskich przemysłowców, co jednokonnym wózkiem z niewielkim zapasem swego towaru, przeciągają odleglejsze od miasteczek okolice.

Rzeczywiście „kum Dmytro“, jak go wszyscy nazywają, był przejeżdżającym maziarzem, ale bardzo dobrze znanym i nader często widywanym w tych stronach.

W tej chwili coś wielce ważnego prawi zgromadzonym gospodarzom, bo wszyscy tak pilnie i uważnie wlepili weń oczy, jak gdyby pragnęli pochwycić i zrozumieć każde słowo, zanim mu jeszcze z ust wypadnie.

Kum Dmytro z jakimś osobliwszym rozprawia naciskiem:

— Nic darmo niema na świecie! Bóg, coć przecie hojność najwyższa, nie przyrzekł nam darmo szczęścia ani za życia, ani po śmierci. Ziemia nie żywi nas darmo, wszystko musimy okupywać taniej lub drożej, łatwiej lub trudniej... Wybyście jednak wszystko chcieli darmo! — dorzucił po chwili i pięścią w stół uderzył, a potem z niechęcią kapelusz zrzucił z głowy.

Ostatnie słowa jego sprawiły wielkie wrażenie na całem zgromadzeniu. Sam wójt Iwan Chudoba, posu-

nął zamaszystą czapkę baranią z lewego ucha na prawe i odezwał się z niejakiem wahaniem:

— Tać niema co mówić, kumie Dmytrze, macie słuszność. Ale my nie chcemy bynajmniej darmo, nie wiemy tylko co robić.

— Kto nie wie, powinien się dowiedzieć — odparł maziarz krótko.

— A u kogo? — zapytał wójt dalej.

— U kogo? — powtórzył po chwili maziarz. — U siebie samego, u własnego sumienia i rozumu.



Zeszła się wszystka gromada do organiściny.

— Hm — wycedził wójt nie ze wszystkiem zadowolony.

— Mówicie, kumie, jakbyście zadawali zagadki — odezwał się z boku dziesiętnik Mykita Tandara.

Maziarz zamyślił się czegoś.

— Nie czas jeszcze — szepnął po chwili jakby sam do siebie.

— Jakto nie czas jeszcze? — zapytał wójt.

— Nie czas jeszcze, abym ja wam rozwiązywał zagadki, kiedy sami nie umiecie.

Maziarz spojrzał nagle do okna, jakby kogoś niecierpliwie wyglądając, potem pochylił głowę na piersi i bębniąc palcami po stole, odezwał się po krótkim namyśle jakby od niechcenia:

— Domagacie się wielkiej ulgi, wielkiej łaski, wielkiego podarunku od ludzi, których nienawidzicie, którym złorzeczycie.

— Ba, alboż możemy inaczej? — poderwał od szarego końca dawny polowy dworski, Hryć Wenczór.

— Ot ciemno wam w głowie i kwita. Nie sądzicie nic z rozumem, na wszystko patrzycie według pozoru. Pokrzywdzi was łotr mandatarjusz (pełnomocnik), dziedzic winien, uciśnie niecnota ekonom, dziedzic winien.

— Ho, ho! — przerwał jakiś ponurego oblicza, niemłody już chłop od szarego końca.

— Musicie niemało za maź targować od panów, kiedy tak zawsze stajecie po ich stronie.

Maziarz zmarszczył czoło, chciał coś prędko odpowiedzieć, ale powstrzymał się nagle. Machnął tylko ręką i obracając się w stronę szynku, zawołał żywo i wesoło:

— Jeszcze garniec wódki! panie Organisto!

— Ho! ho! co robicie kumie Dmytrze — upominał ten i ów u stołu, lubo wszyscy z zadowoleniem poruszyli się na swych ławach.

Kum Dmytro znowu zamyślał się głęboko, a czasami ukradkiem wyzierał przez okno.

— Czy oczekujecie kogo, kumie? — zapytał Mykita Tandara.

— Nie, patrzę tylko, czy wysoko słońce na niebie, dziś jeszcze muszę jechać dalej — odparł obojętnie.

— Jedziecie i nic nam już nie powiecie? odezwał się wójt z niejakiem ubolewaniem.

— A cóż wam mam mówić, kiedy mi wierzyć nie chcecie?

— Ah! — tłomaczył się urzędnik gromadzki, jakby na pół obrażony tym wyrzutem.

Maziarz potarł ręką po czole, a oko dziwnym jakimś zalśniło mu blaskiem.

— Cóż chcecie? — rzekł po chwili z przekonywującym naciskiem — wierzcie albo nie wirzcie, ale powiadam wam na sumienie, że od was tylko zależy, aby od dziś za rok nikt w całym kraju nie znał pańszczyzny.

Cała gromada wydała jeden tylko wykrzyk radosnego zdziwienia, pomieszanego z pewnem niedowierzaniem.

— Ba, ba! — zawołał wójt i w znak radości czapkę zasunął na sam tył wygolonej głowy.

— Pan Bóg by z wami mówił — odezwał się liczny chór.

Maziarz jakby się nagle czegoś zawahał, sparł głowę na ramieniu, przymrużył na pół oczy i zakołysał się cały, jakby go trunek rozbierał.

— Ale — poderwał nagle cokolwiek zmienionym głosem — pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki! Jak się i wy do tego z swej własnej nie przyłożycie strony, to nie z wszystkiego!

— A jakże to rozumiecie, kumie? — zapytał wójt.

— Poczekajcie !— zawołał — opowiem wam bajkę. Słuchajcie tylko dobrze.

W tym jednak momencie drzwi z łoskotem rozwarły się na ścieżaj, a do izby szynkownej wszedł gość nowy. Maziarz utknął w mowie i uważnie wpatrzył się w nowo przybyłego. Za jego przykładem poszli i wszyscy inni i nagle cicho zrobiło się w szynkowni. Bo też nowoprzybyły nie miał nic wspólnego z resztą obecnych gości, a miał na sobie strój, który w czasach pańszczyźnianych zmuszał chłopa do pomimowolnego szacunku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Na długie wieczory.

Skończyły się wszystkie gospodarskie roboty tak w polu, jak i w ogrodzie, bo jesień dość długa była. Nadeszły długie zimowe wieczory. Kochani Czytelnicy, warto się zastanowić nad tem, jak te wieczory na wsi bywają spędzane. Ano kobiety mają dosyć roboty, bo muszą krówki wydoić, garnki myć, pierze drzeć, bieliznę i odzież łatać i biedne nieraz do północy te roboty wykonują. Ale z mężczyznami to jest zupełnie inaczej; mężczyzni po większej części to te długie wieczory obracają na niekorzyść tak dla swego ciała, jak i duszy, bo schodzą się po niektórych domach i często po całych nocach grają w karty, a jaki pożytek karty przynoszą, to wszyscy dobrze wiemy.

Więc czy tak mężczyźni na wsi powinni wieczory spędzać? Czy to niema się czem zająć w domu własnym? Przecież w dzisiejszych ciężkich czasach to

drobny rolnik powinien być dla swego gospodarstwa cieślą, szewcem, koszykarzem i stolarzem i te wszystkie roboty powinny być właśnie przez długie zimowe wieczory wykonywane. Oprócz tego przecież czytelnictwo na wsi koniecznie powinno się rozwijać. Przecież na Rany Boskie, są jeszcze takie wsie, gdzie ani jedna gazetka jeszcze nie zagląda, czyż to w dwudziestym wieku możliwe? Kiedy się zaleca na wsi gospodarzom czytanie dobrej gazety, to tylko ramionami wzruszają i narzekają na ciężkie czasy. Prawda, że dziś na wsi niema rozkoszy, ale jeżeli się staramy o strawę dla ciała, to powinniśmy wiedzieć, że i duch nasz potrzebuje strawy, a tą strawą właśnie jest dobra gazeta i książka. Czyż nie lepiejby było wieczorem usiąść przy stole, wziąść gazetę do ręki i przeczytać ją na głos, by wszyscy słyszeli, czy to nie jest przyjemność dla siebie i dla domowników. Więc nie powinien żaden gospodarz na wsi chodzić po wieczorach za kartami, a tylko sobie „Rolę", albo jakie inne poczciwe pisemko zaprenumerować, bo z tego będzie daleko lepsza korzyść, aniżeli z kart.

Trzeba koniecznie te parę złotych na czemś oszczędzić, żeby je mieć na gazetę. Ileż to pieniędzy puszczamy dzisiaj z dymem. Przecież dziś ten, co najmniej pali, przepali tygodniowo 2 zł. a są tacy, którzy przepalają dziennie 1 zł. i więcej i na to pieniądze muszą być, a na gazetę niema, chociaż ona kosztuje tylko niecałe 4 grosze dziennie, tyle co jeden „damski". Czyż to nie można tak zrobić a już tylko ta drobna i nieznaczna oszczędność by nam wystarczyła na prenumeratę dobrej gazety.

Drodzy Bracia! Czas wielki, byśmy powstali z tej drzemki wiekowej, a wzięli się do oświaty, bo oświaty nam koniecznie potrzeba. Ileż dzisiaj mamy w kraju wszelkich zbrodni, wszystko to są skutki ciemnoty. Zwłaszcza naszej młodzieży koniecznie potrzeba oświaty, by nie broiła tyle, a wzięła się do pracy i lepszego życia, by poznała Ojczyznę swą i dla niej żyła. Krew w żyłach się ścina, gdy człowiek patrzy na te wybryki dzisiejszej młodzieży noże, rewolwery i inne zbrodnicze narzędzia dziś są w robocie. Zupełny zanik moralności, tak u męskiej jak i u żeńskiej młodzieży daje się zauważyć. Sodoma i Gomora powraca. Droga Młodzieży! zklinam Cię, zawróć z tej drogi, po jakiej dziś kroczysz. Bierz się do oświaty, korzystaj z tych długich zimowych wieczorów, kształcąc swe umysły przez czytanie dobrych i pożytecznych gazet i książek, by z Was rodzice Wasi mieli pociechę i Ojczyzna dobrych Obywateli.

Andrzej Dej.

Styczeń.

Praojcowie nasi na Nowy Rok witali się słowami: „Bóg się stykaj", co znaczyło polecenie opiece Bożej. Stąd wywodzą nazwę miesiąca styczeń, który zanim wogóle przyjęły się i utrwaliły nazwy miesięcy, powszechnie nazywano z łacińska Januariusem.

U Rzymian Januarius był poświęcony Janusowi, owemu dwulicowemu i tajemniczemu bożkowi, którego świątynia otwierała się tylko w czasie wojny. A ponieważ Rzymianie rzadko kiedy z kimś nie wojowali, więc od Numy Pompiliusza w ciągu 700-set lat tylko trzy razy wypadło, że świątynia znajdowała się podczas miesiąca Janusowi poświęconego, szczelnie zamkniętą.

Każdy pierwszy dzień miesiąca, a tembardziej roku Rzymianie uroczyście obchodzili pod nazwą „festum calendarium", a stąd wyprowadzono polską nazwę „kolędy".

Kolęda ma znaczenie pieśni uroczystej, odnoszącej się do Bożego Narodzenia, ale zarazem i podarku. Te dwa pojęcia zespoliły się w jednym wyrazie „kolędować"; w języku ludowym oznacza więc nietylko śpiewać ku czci Dzieciątka Jezus, lecz obchodzić domostwa w celu uzyskania „kolędy", czyli podarku.

Takiemu „kolędowemu" towarzyszą oczywiście życzenia wszelakich pomyślności, ku zniewoleniu tych, którym się winszuje, do większej hojności.

Przechowała się dotąd w wielu okolicach kraju najpospolitsza i najbardziej znana formuła kolędowego powinszowania gospodarzom wioskowym, wogóle rolnikom według następującego brzmienia:

Żeby wam się rodziło żytko — jak korytko, Pszenica — jak rękawica, Bób — jak żłób, Len — jak pień.

Dawniej, gdy była w Polsce obfitość dzikich zwierząt, kolendnicy owi oprowadzali młodego wilczka, niedźwiedzia lub lwa. W braku żywych zwierząt, przebierali się w ich skóry, a stąd powstało przysłowie: „biega z wilczą skórą w Nowy Rok po kolędzie".

Na Mazowszu i na Kujawach w dniu 1 stycznia, jako noworocznym, w wielu rodzinach wieśniaczych musi być na obiad podawaną prażucha inaczej t. zw. „lemieszka" z mąki pszennej, żytniej lub hryczanej. Młodzież spożywając lemieszkę, uderza się wzajemnie łyżkami po policzkach, a następnie obmazuje ciastem okna. Jest to symboliczne życzenie, aby „wszystkie usta i wszystkie domy napełnione były przez cały rok obfitym chlebem".

W tym celu również Nowy Rok powinien zastać na stole każdego gospodarza spory bochen chleba z solą i każdy wchodzący do chaty, obowiązany jest chociaż kęs chleba „gościnnego" przełknąć.

W przysłowiach ludowych i wierszykach Nowy Rok oraz miesiąc styczeń często bywają wspominane, jak naprzykład:

Kiedy przyjdzie Nowy Rok, już ku wiośnie bliski krok. A myśliwi powiadają: Śnieg bez wiatru w Rok Nowy, pewny omen ponowy. Bądźże tedy gotowy, ruszyć duchem na łowy.

Chociaż w styczniu sroży się jeszcze zima w najlepsze, należy pamiętać o szykowaniu rynsztunku gospodarskiego, więc dawne przysłowie ostrzega rolnika:

Lubo w styczniu śnieg i mrozy, ty już gotuj pługi, wozy.

Zdarzały się bowiem zimy tak lekkie i wczas się kończące, że w styczniu było można orać. Przecież według innego przysłowia dopiero „święta Agnieszka (21 stycznia) wypuszcza skowronka z mieszka". Jednakże naogół biorąc, gospodarze nie dowierzają ciepłu w styczniu, mówiąc, że: Cała ta styczniowa orka, warta dziurawego worka.

Wszakże bywały lata, gdy w styczniu kończyły się żniwa i wegetacja roślinna niby na południu zaczęła się okazywać. O takiej niezwykłej „wiośnie w styczniu" wspomina Jan Chryzostom Pasek pod 1680 r.

Zaraz na początku tego roku — pisze pamiętnikarz — doczekaliśmy się nowych rzeczy, bo zima, która już była gruntownie stanęła, zginęła raptem i stało się tak ciepło, tak pogodno, że bydło poszło na pole, puściły się kwiatki i trawę ziemia wydawała, orano i siano. Jam jednak długo namyślał się z siewem, ale

widząc, że ludzie już w pół jarzyny pozasiewali, ja też natenczas począłem siać. Gdym jeździł w zapusty z ludźmi po kolędach, po weselach, to takie były gorąca, że trudno było zażyć sukni futrzanej tylko letniej, jak w sierpniu. Już tedy po Nowym Roku zimy nie było, jeno deszczyki przechodziły.

Wzmiankę swą o osobliwej „wiośnie styczniowej" kończy Pasek uwagą:

„Owe tedy zboża w styczniu siane, wyrosły tak przed Wielkanocą, że aż na nich bydło pasano, a tak tej zimy 1680 r. bydło mało co słomy zażyło, mając dobre bardzo pożywienie w polu".



Poradnik gospodarczy.

Choroby prosiąt.

Często zdarza się słyszeć narzekania, że prosięta nie chcą się chować, że „chyrlają", że to i owo prosię zdechnie, że koniec końcem nie zanosi się wcale na pociechę z prosiąt. Być może, że prosięta mają w sobie zarodki jakiejś zaraźliwej choroby. Taka np. zaraźliwa choroba płucna w różnych swych przejawach jest długotrwałą, świnie mocno osłabia, a w lekkich przypadkach objawia się chyba tylko pokaszliwaniem, mniejszym apetytem i zmniejszoną ruchliwością u wyrosłych świń i prosiąt. Przeciw zaraźliwym chorobom istnieją dosyć skuteczne szczepionki, o których stosowaniu pouczy weterynarz, względnie sam je zaszczepi.

Przeciw zaraźliwym chorobom można trzodę chronić, dbając o czystość chlewa i przyborów, oraz umieszczając osobno narazie nowonabyte sztuki.

Często prosięta „chyrlają" z powodu popełnienia błędów przy wychowie. Tymi błędami bywają: niedobre utrzymanie prośnej i karmiącej maciory, oraz błędne utrzymanie i żywienie prosiąt. Nierzadko się zdarza, że prośna lub karmiąca maciora otrzymuje kwaśną, wzdymającą paszę, a więc dla takiej świni najnieodpowiedniejszą. Nierzadko się zdarza, że prośna maciora nie ma ruchu na świeżem powietrzu. Skutek bywa najfatalniejszy, bo lęgną się prosięta słabowite, zgóry nadziei nierokujące.

Nierzadko zdarza się, że gospodarz prosięta zbyt wcześnie od matki odsadza. Jest to również fatalny błąd. Sześć tygodni prosięta matkę ssać powinny, nigdy przez krótszy czas. Błędem jest, jeżeli się prosiętom tak zwanych ostrych zębów nie obłamie. Zęby te bywają często przyczyną niedomagania prosiąt, a to dlatego, że kaleczona niemi maciora nie da się spokojnie ssać prosiętom.

Koniecznem jest na to uważać. aby prosięta karmy maciory, która nie jest dla nich przeznaczona, nie wyżerały. A dalej koniecznem jest, aby prosięta odpasano w osobnej zagrodzie i. aby korytko było dosyć długie, wystarczające dla danej ilości prosiąt. Podawać tylko tyle karmy, ile prosięta wyjeść zdołają. Resztki trzeba w każdym razie wyrzucić, a korytko wymyć a nawet wyparzyć. Pod względem czystości nigdy nie można być za gorliwym.

Do picia podawać czystą, nie za zimną wodę, a nie jakieś pomyje, które wcale nie bywają zdrowe (np. zlewki kuchenne). Zaś co do mleka dla prosiąt, to czyste krowie jest za mocne; trzeba je cokolwiek przegotowaną wodą rozcieńczyć. Bardzo stosowną karmą są parowane ziemniaki (przedtem czysto wypłukane) lub takie buraki z niewielką ilością otręb. Z ziarnek, które prosiętom podawać się zaleca, są doskonałe: owies, jęczmień, żyto. Ze środków zdrowotnych, wcale niekosztownych, dobrze jest podawać prosiętom miałką kredę, oraz szlam ze stawu. Szlam ma doskonale pod względem zdrowotnym oddziaływać, przeczyszczając przewód pokarmowy, podniecając apetyt i t. p.

Świnie, a szczególniej prosięta powinny mieć w chlewie sucho. Często zatem trzeba im podścielać suchą słomę. Prosięta żadną miarą nie mogą leżeć na cemencie, boby się zaziębiły.

W chlewie powinno być jasno, powinno być świeże powietrze, oraz panować znośna temperatura. Należy unikać przeciągów. Wreszcie należy postarać o sposobność dla prosiąt o ruch, aby się mogły dostatecznie wyhasać. Co ruch dla młodzieży znaczy, jak znakomicie na wzmocnienie, na prawidłowy rozwój organów wpływa, o tem szerzej się rozwodzić nie potrzeba; wystarczy zapewnić, że wpływ ruchu na świeżem powietrzu jest nieoceniony w skutkach.

Na temat ten możnaby jeszcze wiele pisać, zdaje nam się jednak, że te najważniejsze wskazówki wystarczą. aby ochronić prosięta od wielu chorób i mieć z nich szybki i należyty pożytek

Poradnik lekarski.

Hartowanie się zimą.

Hartowanie ciała jest jednym z najważniejszych warunków pielęgnacji zdrowia. Błędnem jest mniemanie, jakoby hartowanie zimą było zbyteczne i że nabyte podczas lata zahartowanie ciała zabezpiecza dostatecznie i na zimę. Oczywiście, że jest niebezpieczna wszelka w tym kierunku przesada. Przez używanie zbyt zimnej wody niejeden mocno sobie zaszkodzi, ciągłe obmywania się, zwłaszcza w nieopalonym lokalu, sprzyjają bezwarunkowo powstaniu skłonności do reumatyzmu lub kataru.

Jeżeli się chce przyzwyczaić do zimnej wody, to należy stosować obmywanie stopniowo, poczynając od wody letniej, przestałej, której temperaturę co parę dni obniża się o stopień. Po obmyciu się zimną wodą konieczne jest dokładne wytarcie ciała połączone z nacieraniem. Znakomicie działa w takim wypadku także automasaż millerowski.

Jeszcze ważniejszem jest stosowanie hartowania zapomocą powietrza. Powietrze jest bowiem tem środowiskiem, w którem stale przebywamy. To też powinniśmy wykorzystywać każdą sposobność, aby możliwie jaknajczęściej i najdłużej przebywać na świeżem powietrzu. Wielce szkodliwem jest zbyt silne ogrzewanie mieszkań co często zachodzi w biurach. Osłabia ono w wysokim stopniu odporność skóry i czyni ją podatną na wszelkie zmiany temperatury. To też temperatura w pokojach nie powinna być wyższą ponad 17 stopni Cels. Ponadto powinno się powietrze parę razy dziennie odświeżać przez otwieranie okien. Temperatura sypialni może być niższa. Należy jednak sypialnię umiarkowanie opalać, zwłaszcza o ile jest ona przeznaczona dla ludzi starszych. Niewskazane jest także zbyt ciepłe przykrywanie się. — Powoduje ono bowiem podczas snu pocenie się, które osłabia odporność organizmu.

Hartowanie ciała dobrze jest rozpoczynać w lecie i kontynuować zimą. Kto jednakże w lecie zaniedbał tego, nie powinien się zrażać i rozpocząć hartowanie

się w porze zimowej, bo lepiej późno niż nigdy. Należy jednak, jak to już podkreśliliśmy, postępować ostrożnie bez przesadnego fanatyzmu do wody. Należy rozpoczynać od wody, która przez noc stała koło opalonego pieca. Następnie stopniować temperaturę powietrza, poczynając od przewietrzenia opalonego pokoju, dalej nieopalonego, a nakoniec opalonego przy otwartych oknach.

KRONIKA.

Od Redakcji. Z okazji świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku otrzymaliśmy tak wielką ilość życzeń, iż nie sposób każdemu choćby w kilku słowach odpowiadać. Dziękujemy więc wszystkim zbiorowo za tak pochlebne dla nas słowa uznania, przesyłane wraz z życzeniami i zapewniamy, że będą one bodźcem do dalszej pracy nad ulepszeniem „Roli".

Nasz konkurs. Ocena prac nadesłanych na konkurs dobiega już końca. Wynik podamy w następnym numerze „Roli". Dziś już zaznaczyć możemy, że kilka utworów odznacza się niepoślednią wartością i te w najbliższych numerach kolejno zamieszczać będziemy.

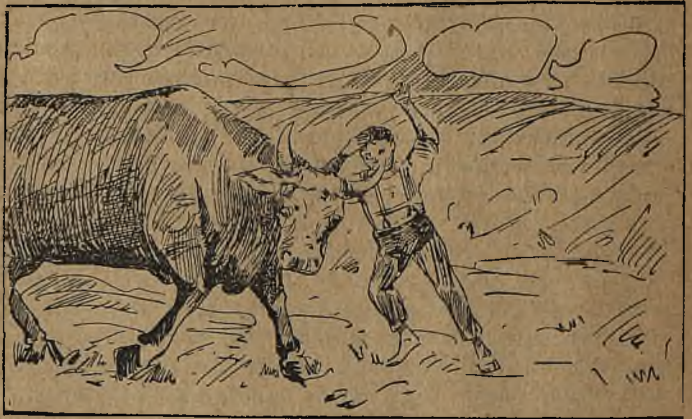
Katastrofa w kopalni. W ubiegłym tygodniu w kopalni węgla „Juljusz" w Sosnowcu miała miejsce wielka katastrofa. Zawalił się mianowicie strop węgla, zasypując 5 górników. Zdołano wydobyć dwóch, jednego zabitego a jednego ciężko rannego. Wskutek zawalenia się mas węgla i związanego z tem wstrząsu ziemi, zarysowały się ściany w 26 domach. Domownicy w obawie o swoje życie opuścili mieszkania.

Porwanie i uśpienie seminarzystki. Na posterunek policji państw. na dworcu w Tarnopolu zgłosiła się niejaka Monika Mierzejewska, licząca lat 17, a pochodząca z Wąbrzeźna na Pomorzu, uczenica II kursu seminarjum nauczycielskiego w Toruniu i zeznała, że jeszcze dnia 13 lub 14 listopada z. r., gdy wieczorem wracała od koleżanki do bursy i przechodzila obok parku Wilsona w Toruniu, przystąpił do niej jakiś osobnik, schwycił za ramię i następnie gwałtem wepchnął ją do auta, stojącego w pobliżu. Co było później, Mierzejewska nie pamięta, gdyż straciła przytomność, a gdy się przebudziła, spostrzegła w samochodzie jeszcze drugą młodą dziewczynę mogącą mieć lat 15. Dziewczyna ta spała. Auto zdążało, jak się jej zdawało, w kierunku Bydgoszczy. Mierzejewska straciła następnie znów przytomność, prawdopodobnie pod wpływem jakiegoś narkotyku, a obudziła się poraz drugi koło Białegostoku, poczem, skorzystawszy z zepsucia się samochodu w okolicach Wilejki, zbiegła i piechotą przez 45 dni szła do Tarnopola, gdzie mieszka jej znajoma, u której obecnie przebywa. Wydział śledczy w Tarnopolu prowadzi dochodzenie w kierunku sprawdzenia zeznań Mierzejewskiej.

Tragiczna miłość. Przystojna dziewoja wiejska Anna Biłyk w Uhersku, pow. stryjskiego, miała szczęście do chłopców. Każdy rad był się z nią żenić. Nic dziwnego. Wszak prócz ładnego licz̈ka miała jeszcze sporą ilość gruntu w posagu. Najgorętszymi amatorami jej byli Piotr Jewdoszak i Iwan Kościów. Na tem tle przychodziło między nimi do kłótni, a nawet do bójki. Uśmiech, cieplejsze słówko, wypowiedziane do jednego z nich przez nadobną dziewoję, wywoływało bójki i złorzeczenia. Rzecz jasna, że w takim stanie rzeczy musiało kiedyś przyjść między nimi do ostatecznej rozgrywki. I przyszła ona... W domu An y Czuplak spotkał się ten „trójkąt". Utartym zwyczajem przyszło między rywalami do kłótni, a następnie Kościów uderzył Jewdoszaka dwa razy w twarz. Ten postanowił zniewagę, popełnioną w obecności „lubej", srogo pomścić. Udał się do domu, poszukał sobie pomocy Piotra Fedorosa i obaj udali się w poszukiwanie za Kościowem. Wnet natknęli się na niego i zaczęła się zażarta walka. W pewnym momencie Kościów scyzorykiem pchnął Fedorasa w pierś. Fedoras krzyknął przeraźliwie z bólu i począł uciekać. Ubiegł kilkadziesiąt kroków, silnie brocząc krwią, poczem padł zemdlony na ziemię. W ciężkim stanie zabrano go do szpitala, gdzie nazajutrz wśród okropnych męczarni życie zakończył. Zabójcę aresztowała policja i odstawiła do sądu, gdzie odpowie za swój czyn.

Zemsta na poborcy podatkowym. Drogą prowadzącą ze wsi Lipniak do Krzczonowa, powiatu lubelskiego powracał onegdaj poborca podatkowy Jan Warda. W pewnym momencie zastąpił mu drogę jakiś osobnik i dał do niego trzy strzały z rewolweru. Jedna z kul trafiła Wardę, raniąc go poważnie. Napastnik zbiegł. Przeprowadzone natychmiast dochodzenie ustaliło, że napadu na poborcę podatkowego dokonał niejaki Jan Januszek. Miał on z Wardą osobiste porachunki, a ustaliwszy, kiedy będzie wracał do domu, postanowił z nim rozprawić się na drodze publicznej. Januszka aresztowała policja i osadziła w więzieniu do czasu decyzji sędziego śledczego.

Na rogach rozjuszonego byka. W majątku Wilno, opodal Radziejowa Kujawskiego, 50-letni pastuch Józef Gapski, prowadził ze swym synem ogromnego stadnika. W pewnej chwili z nozdrzy byka wysunęło się kółko, do którego przymocowany był łańcuch i Gapski usiłował kółko z powrotem założyć w nozdrza zwierzęcia. Wtem podrażniony byk chwycił go na rogi i rzucił go opodal, a następnie ruszył na syna Gapskiego, któremu rogiem rozerwał twarz na strzępy i stratował go, łamiąc mu przy tem wszystkie żebra.



Na rozpaczliwe jęki pastuchów zbiegła się gromada włościan, nikt jednak nie miał odwagi odpędzić rozjuszonego stadnika. Młody Gapski poniósł śmierć pod racicami byka.

W sidłach na lisy. Uczestnikami niezwykłej przygody stali się dwaj robotnicy: Ludomir Zyskowski i Wacław Ruczyński. Przechodząc onegdaj przez las solistowski na terenie gminy Bargłów w powiecie augustowskim zauważyli norę, wyglądającą na mieszkanie, a przy norze zawieszoną pętlę. Zaciekawieni uczynionem odkryciem zbliżyli się do nory i Zyskowski pociągnął za pętlę. Skutki tego pociągnięcia były fatalne, gdyż nastąpił wybuch, który poszarpał rękę, trzymającą pętlę, a tuż

stojący Ruczyński odniósł pokaleczenia lewej ręki, nadto obydwaj robotnicy zostali mocno osmoleni prochem. Okazało się, że pętla była swojego rodzaju pułapką na lisa skonstruowaną w ten sposób, iż za pomocą drutu miała połączenie z cynglem karabinu bez obsady, nabitego prochem. Z chwilą szarpnięcia pętlą następował wybuch, który właśnie spowodował okaleczenie obu robotników.

Piekło za życia. We wsi Rustowo pod Pruszczem mieszkał 40-letni robotnik Gessner z 42-letnią żoną Martą i córką Gertrudą. Gessner często wracał do domu pijany i wówczas nieludzko znęcał się nad nieszczęśliwemi kobietami. Pewnego razu, wypiwszy więcej niż zwykle, porwał fuzję i wycelował ją w stronę śmiertelnie przerażonych kobiet. Na szczęście udało się im usunąć z przed oczu pijaka, który trzymając fuzję w ręku padł jak kłoda na łóżko i zasnął. Wówczas Gessnerowa, nie mogąc znieść współżycia ze zbrodniarzem, podpaliła siennik, na którym spał tyran. Pod wpływem gryzącego dymu Gessner obudził się i zdołał uratować życie, odniósłszy jedynie lżejsze poparzenia. Kobieta uciekła z domu i tułała się po okolicy, nocując w stodołach. Wreszcie udała się na posterunek policji, gdzie zeznała, że mąż jej jest sprawcą kilku nieujawnionych morderstw i napadów rabunkowych i jedynie obawa przed zemstą męża wstrzymywała ją od doniesienia. Policja aresztowała Gessnera i rozpoczęła dochodzenia celem wyświetlenia jego tajemniczych zbrodni.

Nowe warjactwa komunistów. Do jakiego stopnia dochodzi obłęd u rosyjskich komunistów, świadczy nowy ich pomysł o wychowaniu dzieci. Otóż według tego pomysłu wszystkie dzieci w Rosji mają pozostawać przy rodzicach tylko tak długo, jak długo potrzebują niezbędnie macierzyńskiej opieki. Po dwóch więc a najwyżej trzech latach mają być odbierane rodzicom i umieszczane w specjalnych kolonjach, oddalonych o kilka kilometrów od miast i tam wychowywane w duchu komunistycznym. A więc już z maleństw niewinnych chcą porobić zbrodniarzy.

Niebywałe mrozy na Syberji. Z Moskwy donoszą, że cała Syberja stoi obecnie pod znakiem nadzwyczaj ostrych mrozów. Od dziesiątek lat nie pamiętają tam takiego zimna. W niektórych częściach północnych kraju spadł termometr do 60 stopni poniżej zera! Szkoły, teatry i kina uległy z konieczności zamknięciu. Także koleje nie kursują, a mnóstwo pociągów utknęło w śniegu. Zmarznięte ptactwo leży tysiącami po polach, a drób zdycha masowo.

31 trucicielek przed sądem. Niebywały w historji kryminalistyki proces toczył się w mieście węgierskiem Szolnok, gdzie stanęło przed sądem 31 kobiet oskarżonych o popełnienie morderstw przez otrucie. Miejscem tych zbrodniczych czynów była mała, 1.400 mieszkańców licząca mieścina Nagyrew. W ciągu kilkunastu lat oskarżone otruły swoich mężów, rodziców i kochanków. Złym duchem wszystkich tych zbrodni ponoszącą moralną za nie odpowiedzialność była pewna akuszerka imieniem Sisi Olak, która podczas śledztwa popełniła samobójstwo, Osiadła ona 40 lat temu w Nagyrew. Nazywano ją powszechnie „ciocią Susi". Radzono się jej we wszystkich okolicznościach. Z racji swojego zawodu stała się powierniczką wszystkich kobiet wsi. Znała ich tajemnice miłosne i każdej umiała w „jaknajlepszy" sposób poradzić. Za pewną sumę, zależnie od położenia materjalnego danego klijenta, przygotowała truciznę, która działała skutecznie. Podczas rozprawy wieś przybrała dziwny wygląd. Była jakby wyludniona. Najdziwniej wyglądał cmentarz, gdzie otwarto 50 grobów. 50 ciał zmarłych w podejrzanych okolicznościach wydobyto z miejsca spoczynku, celem dokonania sekcji zwłok i stwierdzenia przyczyn śmierci. Stwierdzono, że przeszło 40 osób zmarło wskutek otrucia. Między otrutymi była również wielka ilość dzieci. Sąd skazał jedną zbrodniarkę na karę śmierci, a trzy inne na dożywotnie więzienie.

Beatyfikacja szkockiego męczennika. Dnia 22 grudnia rano odbyła się w Bazylice w Rzymie ceremonja beatyfikacji męczennika szkockiego Jezuity Olgivre'a. Po południu papież udał się ponownie do Bazyliki w celu złożenia hołdu nowemu błogosławionemu. Świątynia była przepełniona wiernymi, pomiędzy którėmi znajdowali się kardynałowie, korpus dyplomatyczny, rodzina błogosławionego, generał Jezuitów i pielgrzymka przybyła ze Szkocji. Na cześć papieża wznoszono entuzjastyczne okrzyki.

Wyjazd Ojca św. z Watykanu. Dnia 20 grudnia z.r. rano Ojciec św. niespodziewanie opuścił samochodem mury Watykanu, udając się do Bazyliki Laterańskiej w Rzymie, gdzie odprawił Mszę św. Po Mszy św. udał się w uroczystej procesji do sąsiadującego z Lateranem pałacu, gdzie spożył śniadanie, a następnie wśród okrzyków zebranych rzesz duchowienstwa powrócił do Watykanu. Jak wiadomo, od zniesienia państwa kościelnego aż dotąd żaden z papieży nie opuszczał ani na chwilę murów Watykanu, gdyż uważali się oni za dobrowolnych więźniów króla włoskiego. Uczynił to dopiero obecny Ojciec św. Pius XI.

Fantazja bogacza. Miljoner amerykański, Stude, odbywał przejażdżkę po morzu Adrjatyckiem. W Tryjeście jedna z pań z kaprysu rzuciła w morze kosztowny pierścień, żartując sobie z miljonera, że nie zdoła go wydobyć z morza. Podrażniło to ambitnego bogacza, wynajął więc nurków, którzy mieli dokładnie przeszukać dno morza. Poszukiwania nie doprowadziły jednak do celu. Wobec tego miljoner kazał przekopać dno morza, a ziemię wydostać na brzeg. Trzy tygodnie olbrzymie pogłębiarki wydobywały setki ton piasku, który na brzegu przepłukiwano. Aż wreszcie zalśnił drogocenny pierścień, który uradowany bogacz wręczył owej kapryśnej pani. Pytanie tylko, czy nie lepiej było obrócić te olbrzymie sumy na wsparcia dla biednych, aniżeli rzucać je jakby wprost w błoto dla kaprysu jednej niewiasty.

Genjalny pomysł włoskiego księdza. W miejscowości włoskiej Morango przekrzywiła się nagle wieża kościelna i groziła nietylko zawaleniem się własnem, ale i kościoła, nad którym się wznosiła. Proboszcz tamtejszy, ksiądz Piccardo, zawiadomił o tem natychmiast władze w Genui z prośbą, aby ratowały zagrożony kościół. Na skutek tego zawiadomienia przybyła na miejsce komisja, która jednak orzekła, że kościół nie może być uratowany i trzeba go wraz z wieżą zburzyć koniecznie. Był to straszny cios tak dla mieszkańców Morango, jak i dla proboszcza, przywiązanego od lat do swego kościoła i parafji. Lecz oto dnia pewnego ksiądz Piccardo zjawił się znowu u władz budowlanych w Genui i przedstawił im własny plan przez siebie opracowany, zmierzający do uratowania od zagłady kościoła. Władze jednak i teraz odmówiły. Niezrażony tem ksiądz Piccardo powrócił do domu i natychmiast zabrał się do dzieła, dobrawszy sobie do pomocy tylko jednego murarza. Na trzech ścianach wieży zrobiono głębokie żłobiny, które na miejsce wyjętych z nich cegieł wypełniono piaskiem. Czwarta ze ścian, ta mianowicie, w którą stronę przechyliła się wieża, pozostała nietknięta. I oto trzydziestosiedmiometrowa wieża, ciężarem swym zwolna poczynała osiadać, przyciskając coraz bardziej piasek, wypełniający owe wyrąbane szpary, aż do wyrównania zupełnego wieży. Ten niezwykle prosty a tak

genjalny pomysł księdza uchronił od zagłady kościół w Morango i wsławił jego autora w całych Włoszech.

Najdziwniejsza wieś na świecie. Jest nią mała wioska hiszpańska, Cervera de Buitrago, w pobliżu Madrytu, posiadająca zaledwie półtorej setki mieszkańców. Właśnie mieszkańcy, zarówno mężczyźni i kobiety, czynią z tej wsi unikat na całym świecie. Są to ludzie zupełnie normalnie zbudowani i wyróżniają się tem jedynie, że posiadają po sześć palców u rąk. Mimo niewielkiej odległości od stolicy, niezwykła ta wioska, położona wśród gór, jest niemal zupełnie odcięta od świata, a jej mieszkańcy rzadko wydalają się poza jej granice. Mieszkańcy Cervera de Buitrago tak są przyzwyczajeni do sześciu palców u rąk, że widok „tylko“ pięciu palców u dłoni wprawia ich w zdumienie. Niektórzy z nich posiadają wszystkie sześć palców rozwiniętych normalnie, inni posiadają palce do połowy zrośnięte ze sobą, a jeszcze inni posiadają dwa lub trzy palce przyrośnięte do kciuka.

Bohaterski czyn palacza kolejowego. Niezwykły dowód bohaterskiego spełnienia swych obowiązków złożył belgijski palacz pociągu, ratując setki ludzi od niechybnej śmierci. Oto gdy pociąg osobowy opuścił Brukselę i pędził z całą szybkością, maszynista spostrzegł naraz znak, nakazujący wstrzymanie pociągu przed skrzyżowaniem toru. Maszynista chciał zatrzymać pociąg, ale nagle pękła rura parowa i gorąca para poparzyła w dotkliwy sposób twarz i ręce zarówno maszynisty jak i palacza. Wśród najwyższych wysiłków i okropnych bólów usiłował maszynista chwycić za hamulec, ale stracił przytomność. Pociąg pędził dalej z wielką szybkością i miał już wpaść na boki nadjeżdżającego pociągu pospiesznego. Wówczas ciężko ranny palacz zebrał wszystkie swoje siły, przepełznął z tendra do lokomotywy i wśród nadludzkiego wysiłku zatrzymał w ostatniej chwili pociąg, ratujęc go od strasznej katastrofy. Maszynistę i palacza przewieziono w groźnym stanie do szpitala.

Wesoła staruszka. W wiosce irlandzkiej, Bally Mascanlon, żyje — jak donoszą dzienniki dublińskie — miss Catherine Plunkett, która w ubiegłym miesiącu obchodziła uroczyście 109-tą rocznicę urodzin. Pomimo tak sędziwego wieku, miss Plunkett cieszy się zdrowiem zupełnem. W młodości podróżowała dużo, obecnie jednak prowadzi — i nie dziw — życie siedzące, a najulubieńszem jej zajęciem jest czytanie dzienników. Licznym swym gościom, którzy przybyli, aby powinszować jej 109-tej rocznicy urodzin, opowiadała z humorem różne szczegóły ze swego długiego życia, a między innemi, jak słynny powieściopisarz Walter Scott, gdy była jeszcze małem dziewczątkiem, bujał ją na kolanach, co sprawiało jej radość niewymowną. Niezwykle sędziwa i wesoła staruszka wprost ubóstwiana jest przez mieszkańców.

Wyprawa polska przez Afrykę. Niedawno zakończyła się szczęśliwym wynikiem pierwsza polska wyprawa przez ląd afrykański od Przylądka Dobrej Nadziei do morza Śródziemnego, zorganizowana przez profesorów Dra Walerego Goetla i Dra Jerzego Lotha z Warszawy. Uczeni polscy przebyli ląd afrykański wzdłuż, podążając od Przylądka Dobrej Nadziei koło Kapstadu na Północ. Wyprawa ta zasługuje na specjalną uwagę, gdyż była to pierwsza polska podróż wzdłuż całego kontynentu Afryki. Prof Goetel i Loth brali udział w międzynarodowym kongresie geologów, który się odbył w Pretorji, dawnej stolicy Transwaalu, poczem podążyli na północ do Rodezji, gdzie zwiedzili ruiny Zimbabwe, dawnego Ofiru oraz cudo natury: wodospady Wiktorji na rzece Zambezi. Z kolei zatrzymali się w Broken Hill w północnej Rodezji, gdzie odwiedzili jedyną w Afryce polską misję katolicką, na czele której stoi ksiądz Siemieński, podziwiając ład i wzorowy porządek, jakim ta misja się odznacza. Prowincja Katanga w Kongo belgijskiem, z jego stolicą Elisabethville i bogatemi kopalniami miedzi, rzeki Lualaba i Kongo, oraz jezioro Tanganika były następnemi etapami wyprawy. Poprzez Tanganikę, dawną wschodnią Afrykę niemiecką podążono do jeziora Wiktorja Nianza, poczem podróżnicy skierowali się do stóp Kilimandżaro, najwyższej góry w Afryce (6.010 m.), udając się stamtąd przez słynny rezerwat zwierzyny Kenji, do stolicy tej kolonji miasta Nairobi. Przez Ugandę podążono następnie do zródeł Nilu oraz do gór Księżycowych Rawenzori, a potem przez jezioro Alberta do Rejafu, gdzie się rozpoczyna żegluga na Nilu. Przez Chartum i Assuan osiągnięto po przeszło czteromiesięcznej podróży Kair i Aleksandrję, skąd przez Ateny, Saloniki, Białogród powrócono do kraju z bogatym zbiorem zdjęć i okazów etnograficznych.

50 żon nieboszczyka. W południowej Afryce zmarł przywódca jednego ze szczepów murzyńskich. Poddani jego zgotowali mu wspaniały pogrzeb, w którym brało udział 50 małżonek, tudzież 302 dzieci murzyńskiego władcy.

Zamach na wicekróla Indyj. Wielkie poruszenie w opinji publicznej w Anglji wywołała wiadomość o zamachu bombowym na pociąg, którym udawał się do New Delhi wicekról Indyj. Mianowicie na torze kolejowym podrzucono bombę, która wybuchła pod wagonem jadalnym. Na szczęście w wagonie tym poza nieliczną obsługą nikt nie był obecny. Jeden z kelnerów odniósł ciężkie rany. Dalsza podróż wicekróla Indyj do jego rezydencji w New Delhi odbyła się bez przeszkód. Policja wszczęła energiczne dochodzenia. Aresztowano kilka podejrzanych osób.

Napad piracki miał przed kilkoma dniami miejsce na wodach chińskich. Parowiec „Haiching“ należący do angielskiego towarzystwa Douglas Company został opanowany w nocy przez 20 kulisów chińskich, którzy dostali się na okręt jako podróżni. Steroryzowawszy swych towarzyszy podróży, przeważnie Chińczyków, urządzili napad na kabiny oficerów indyjskiej straży bezpieczeństwa okrętu. Tu jednak natrafili na energiczny opór, wskutek czego wywiązała się walka, w której kilku piratów i jeden żołnierz indyjski polegli. Podczas walki powstał pożar na okręcie i wszczęła się panika wśród podróżnych, którzy zaczęli wyskakiwać z okrętu do morza, przyczem wielu utonęło. Około godz. 5 rano przybył z pomocą pancernik angielski „Sterling“, przy pomocy którego udało się pokonać piratów i ugasić pożar. W czasie walki zginęło 12 osób a 38 odniosło rany. Liczba Chińczyków, którzy, chroniąc się przed bandytami i ogniem, wskoczyli do morza i utonęli, wynosi kilkanaście osób.

Potomek Lutra zakonnikiem katolickim. Niedawno umarł w Baltimore potomek Lutra w prostej linji, którego też nosił nazwisko. Zmarły był katolikiem. Syn jego, ksiądz katolicki, jest Benedyktynem i przebywa w Balmoral. Zakonnik ten, celebrując w czasie pogrzebu ojca, odprawił żałobną mszę św. i odmówił modlitwy dla zadośćuczynienia za zło, które wyrządził Kościołowi wiarołomny przodek zarówno zmarłego jak celebransa. W związku z tem „Przegląd katolicki“ w Baltimore stwierdza, że w Stanach Zjednoczonych żyje obecnie 20 rodzin, mających nazwisko „Luter“. Wszystkie one pochodzą od Lutra i wszystkie są katolickie.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Wład. Przybyłowicz z Szarleja 1·50 zł, Jan Kowal z Wólki 80 gr., Czytelniczki „Roli“ z Krzeszowic 4 zł. dla Maćka, Augusta Wagnerówna 2 zł dla Maćka.

RZECZY CIEKAWE.

Tańce polskie.

Zmieniają się czasy, a z nimi zmienia się wszystko na świecie. Tak samo i tańce. Znikają coraz bardziej nasze tańce narodowe, tak piękne i urocze, a miejsce ich zajmują jakieś szimy, szerlestony, fokstroty i inne paskudztwa.

Najpiękniejszym może z tańców polskich to był polonez, dziś niemal tylko z opowiadań znany. Oto stary szlagon, kręcąc długiego wąsa, prowadzi w posuwistym polonezie skromnie dygającą damę, która odchyliła w zapamiętaniu głowę i nie chce może słyszeć, co jej szepcze zagrzany muzyką smętną i gąsiorem miodu sąsiad-dobrodziej, ściskający jej paluszki.

A oto mazur, to jedynie w swoim rodzaju wyładowanie się temperamentu, wszystko jedno czy młodego, czy starego, radosne zapamiętanie się w ściekłej rytmice, w której grzmią podkowy, dudni galop konia, słychać chrzest zbroi i trzaskanie oręża, śmiech życia i jego radość przelewającą się impetem po żyłach, naprężonych jak struny. O jakże on cudny naprzeciw dzisiejszego szarlestona, w którym dwoje zdechlaków, wziąwszy się za ręce, wykrzywia się jedno drugiemu, jakby w chorobie św. Wita.

Podobny do mazura jest krakowiak o tym samym niemal rytmie i sposobie tańczenia. Jak kwiaty migają barwne spodnice, gorsety, świecące ubrania głowy, korale i szkiełka, całe kaskady wstążek.

Jeszcze wścieklejszy jest „góralski“, bo to i tańczyć trzeba i wyszukiwać samemu figury. Ona drobno drepci prawie w jednem miejscu, on wokoło niej wyprawia niesłychane rzeczy.

Szczytem zapamiętania jest „zbójnicki“, który jest prawie rytuałem. Tu trzeba mieć nogi, jak kozica, by wydolić w tych piruetach, skokach, obrotach, podrzutach całego ciała śmigającego wysoko, w tem wrzecionowem okręcaniu się w sobie.

W ton zupełnie inny uderza „kołomyjka“, taniec również nie nizinny, wyrosły na połoninach wschodnich Karpat. Jest w niej melancholja półdzikiego ludu ruskiego, wielka poezja i rozlewność słowiańska, a przytem jakby poderwanie się do szału, w którym jest zapomnienie.

Ze wszystkich jednak tańców chłopskich najbardziej ochoczo i z największym rozmachem tańczony, to „oberek“. Aż drzazgi lecą od podłogi, kiedy śmigają po izbie pary i trzęsie się chałupa od tupań, wyskoków, pisków i śpiewek.

A oto znów taniec inny, „kujawiak“, który musi się tak poważnie, nieruchomo tańczyć, żeby nie spadł z kapelusza postawiony na jego otoku kieliszek. Raz dokoła... raz dokoła!... a uważnie... a posuwiście... a okrągło, a jednak z życiem...

Nawet taniec żydowski w Polsce inaczej jest tańczony; można powiedzieć, że istnieje specjalny taniec żydów polskich. Aj, aj! to sam cymes tańca! Karczmarz z karczmarką podskakują w nim, jak lalki na sznurkach.

A obowiązująca na przedmieściach miast polskich specjalna „polka“. Tańczy się ją z całem przejęciem, do zapamiętania. Bo i jakżeż? Panna Stefcia ma dziś „wychód“, ustroiła się w nowe kiecki, a Felek w kaszkiecie na głowie, z harmonją w garściach, z szalikiem na szyi, przystawia się do niej i gra „Ojrę“, a gdy ją ujmie w swe mocarne garście, to omal z niej bebechy nie wyłażą.

I czemże są owe modne tańce naprzeciw naszych tańców narodowych?

Pszczoły odkrywcami.

Znany chemik amerykański, prof. Hudson, pracując w ostatnich czasach z węgierskim profesorem Ieno Pasen, odkrył nowy gatunek cukru w niezwykłych istotnie okolicznościach.

Jeden z farmerów w Pensylwanji prosił go o dokonanie analizy plastra miodu, jakoś inaczej wyglądającego, niż zwykle; prof. Hudson przy mikroskopijnej analizie stwierdził, że chodzi tu o żywicę sosny. Posługując się dedukcją, doszedł do wniosku, że pszczoły, których miód zbadał skutkiem wielkiej suszy pozbawione kwiatów, zmuszone były gdzieindziej szukać niezbędnego pożywienia. Wiedzione pewnym instynktem, znalazły na sąsiednich sosnach wystarczające pierwiastki dla zaopatrywania uli. Dwaj uczeni, którym pracowite pszczoły dostarczyły tak cennej wskazówki, przerobili otrzymany miód na rafinowany cukier biały i otrzymali w ten sposób kilo nowego absolutnie nieznanego dotąd produktu, któremu dali nazwę „tukanose“.

Do tej notatki możemy dodać, że u nas w Polsce, w okolicach górskich, pszczoły są większą częścią lata skazane na szukanie pożywienia na igliwiu sosnowem, które w dniach upalniejszych wydziela miodek żywiczny. Miód z drzew szpilkowych jest koloru silnie zielonego, posiada posmak żywiczny, jest dobrym środkiem leczniczym w chorobach organów oddechowych i w katarалnych stanach płuc. Że z takiego miodu chemicy amerykańscy wyciągnęli biały cukier, nie można tego nazwać epokowym wynalazkiem, bowiem z każdego miodu, drogą niezbyt skomplikowanej rafinerji wyciągnięty cukier posiada mniejszą wartość od samego miodu to pewne.

Las w doniczkach.

Wszyscy prawie podróżnicy, którzy zwiedzili Japonję, a wielu także podróżników po Chinach opisuje z zachwytem miniaturowe ogródki japońskie, w których rosną drzewa, takie same, jak w lesie, wyglądające nieraz na bardzo stare, jednakże maleńkie, bo nieprzenoszące pół metra wysokości.

Otóż obecnie jeden z ogrodników niemieckich powiada, że tej sztuki może dokonać każdy na własną rękę, i że nie uciekając się do sprowadzanych zamorskich roślin, można mieć prawdziwy las w doniczkach, stanowiący ozdobę salonu piękną i oryginalną.

Dęby, kasztany, sosny i inne drzewa leśne rosną bez szkody dla siebie, aż do 50-go roku życia, w wazonikach.

Przy odpowiedniem traktowaniu drzewa te w pokoju uzyskują wysokość 25 cm., aż do pół metra.

Chińczycy nazywają je karłowatemi drzewkami i przesadzają je, kiedy są jeszcze bardzo maleńkie, z gruntu do wazoników, napełnionych dobrą, wilgotną ziemią.

Przedtem jednakże odcina się im główny korzeń, a jeżeli pomimo to karłowate drzewko rośnie szybko, to znowu skraca się mu w ziemi kilką korzeni.

Liście takiego drzewka z roku na rok stają się coraz to mniejsze, aż wreszcie dochodzą do miniaturowej wielkości, przy zachowaniu kształtów i barwy liścia wyrośniętego i już potem trwają w tym stanie dalej.

Żarłoczność pająka.

Pająk pożera na śniadanie 4 razy tyle, ile waży — na obiad 9 razy tyle, na kolację 13 i więcej razy. Gdyby człowiek o wadze 80 kg. miałby taki sam apetyt — musiałby zjeść na śniadanie 1 wołu o wadze 6 centnarów metr., na obiad takiego samego wołu i 6 tłustych baranów, a na kolację 2 woły, albo 4 owce i 4 wieprze.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Stałe Czytelniczki z Krzeszowic:** Maciuś za zaproszenie na święta i za przesyłkę serdecznie dziękuje. Że nie przyjechał do Krzeszowic, złożyło się na to kilka powodów. Przedewszystkiem Kaśka zaczęła „wyć", że ją chce opuścić, następnie gospodyni zrobiła mu także piekło, zazdrosna o jego cnotę, a po trzecie po wigilji zrobiło się mu tak ciężko na wnątrzu, iż niewiadomo, czyby go wzięto do osobowego pociągu, a obawiał się, że ciężarowy na takiej delikatnej stacji, jak Krzeszowice, nie staje. Z zaproszenia jednak nie zwalnia i na wiosnę przyjedzie. Wszystkim Czytelniczkom łapki ślicznie całuje. — **Henryk Bilka-Głębicki** w S.: Za tak wielką życzliwość dla „Roli" serdecznie dziękujemy i łączymy wzajemne pozdrowienia. — **Władysław Płomiński** w M.: I znów artykuł bardzo dobry, ale zadługi, przeto musi czekać stosownej chwili, aż będzie więcej miejsca. Pisma maszynowego wystarczy dwie półarkuszowe stronice. — **Władysław Bienias** w K.: Za życzenia wraz z Maciusiem serdecznie dziękujemy. Wzmożony na siłach nie ustanie w swej „pracy". — **Marja Wawrzykówna** w P.: A na co miała być odpowiedź? Że prace konkursowe nadeszły, było zaznaczone Łączymy serdeczne pozdrowienia. — **A. Wagnerówna** w C.: Wierszyk się udał, wykorzystamy go. A możeby tak coś częściej? Za tak aktualne i miłe życzenia serdecznie dziękujemy. — **Władysław Wicherek** w B.: Można, ale łatwe do układania w druku. — **Franciszek Macioł** w S. B.: Gdybyśmy mieli z tysiąc podobnych Panu przyjaciół, z pewnością i „Rola" inaczejby wyglądała. Za tak wielką dla nas życzliwość serdecznie dziękujemy. — **Kachna Ł. Łza** w W.: Owszem, jeszcze na czas przyszły. Za miłe słowa życzeń serdecznie dziękujemy. — **Antoni Bojes** w M.: List odczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością. Im list jest pisany bardziej spracowaną ręką, tem jest on dla nas przyjemniejszy, gdyż wszelką pracę nadzwyczaj cenimy. Nie pomylił się Pan, redaktor „Roli" przebywał przez 15 lat na wsi w Niwiskach, w powiecie kolbuszowskim, jako kierownik szkoły, zna on też wieś i potrzeby ludu wiejskiego i pragnie służyć temu ludowi, jak umie i może najlepiej. Za tak cenne dla nas słowa uznania i poparcie naszych usiłowań serdecznie jesteśmy wdzięczni. — **Na konkurs** w ostatniej jeszcze chwili otrzymaliśmy następujące prace: „Zośka", „Kłamstwo", „Jak to Jacentową wyleczono", „Wśród szarych postaci", „Obłąkanie", „Akwarela", „Nasze wady narodowe", „Powrót z Sybiru". Na tem listę prac konkursowych zamykamy. W następnym numerze podamy ocenę nadesłanych utworów z zaznaczeniem, które otrzymają nagrody, które będą drukowane, ale bez nagród i które... pójdą do kosza. — **Alojzy Szczotka** w Ł.: Za życzenia jak również za zjednanych abonentów serdecznie dziękujemy i polecamy się nadal. — **D. Lesiowski** w W.: Broszurek kilka, zdaje się, jeszcze mamy, zresztą — zaległości niema Pan żadnych. — **Sujeman Szabanowicz** w St.: Niech Pan na czeku przekreśli rok 192... a nad tą cyfrą niech Pan napisze rok 1930 i czek musi być ważny. Jest to omyłka P. K. O. Na drugiej i trzeciej części czeku wydrukowano dobrze 19... a na pierwszej 192... Ale tę cyfrę można przekreślić, a nad nią napisać 1930.

Zagadki do nagrody.

1. Rebus.



2. Łamigłówka.

(Ułożył Władysław Wicherek z B.)

Ranok, rowy, rola, kpy, togi, Rodan, sny, dzban, wióry, Urban, nędza, zima, Reda, tor, oda Asnyk.

Z każdego z powyższych wyrazów wziąć po dwie obok siebie stojące litery które dadzą aktualne przysłowia ludowe.

3. Zagadki humorystyczne.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

I.

Jaki rak stoi na jednej nodze?

II.

Jakie lenie żyją w lesie?

III.

Jaka kora lata w powietrzu?

IV.

W jakim areszcie są ulice?

4. Szarady.

(Ułożył Fr. Macioł z S B.).

I.

Pierwsze zawsze liczbą będzie,
Czytelnikom znaną wszędzie.
Trzecie, pół drugie, to zaś miara
I dziś w użyciu, choć jest stara.
Druga, część pierwsze, mówię szczerze,
(Tylko wierzcie) jest to zwierzę.
Moda dziś każe w całym świecie
Malować nawet drugie-trzecie.
Całość jest w mieście, to już taka sprawa,
Ma ją naprzykład i miasto Warszawa.

II.

Dwa razy trzecia i do tego druga!!!
Dzisiaj szarada łatwa i niedługa
I takie łatwe są dzisiaj w niej wiersze...
Naprzykład: Z wodą płyniezwyklepierwsze.
Całość śliczna miejscowość i któż mi nie [powie,
Że jadą tak ludzie po radość, po zdrowie.

5. Łamigłówka.

(Ułożył Wł. Janczarek z W,).

Z poniższych zgłosek ułożyć 14 wyrazów, z których początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko największego męża Polski odrodzonej:

Dor-kra-u-ki-i-sa-ków-n- do-czeń-rsz-to-sa-kie-lo-tek-ni-za-fra-n-pia-i-wa-ja-óg-grzeb-e-cja-ta-wa-fra-lja-im.

Znaczenie wyrazów: 1) Wyspa w archipelagu Malajskim. 2) Dwie samogłoski jednakowe. 3) Miasto w Jugosławji. 4) Góry w Palestynie. 5) Państwo w Europie. 6) Rzeka we Włoszech. 7) Nazwa balonu Nobilego. 8) Nazwisko króla polskiego. 9) Miasto w Grecji. 10) Student. 11) Ryba morska. 12) Rzeka w Polsce. 13) Miasto polskie. 14) Imię męskie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 11 b. m

Znaczenie zagadek z Nru 50 „Roli": 1. Arytmogryf magiczny: Dąbrowa-Karpaty-Kroacja. 2. Szarady: Pacanów-Kara Mustafa-Panienka. 3. Przestawianka: Antoni St. Bassara, redaktor „Roli".

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Władysław Mazur z T., Wiktor Pyka z B., Andrzej Dej, Władysław Bienias z K. (wierszem), St. Bobrowicz z K., Józef Markus z K., Marja Bernalowa z K., Edward Markus z K., Gerard Ekert z K., Antoni Lechowicz z M., Władysław Wicherek z B., Ks. M. Suchodolski z T., Michał Więcław z N., Jan Babiarz z K., Marjan Pawełek z B., Piotr Wenc z S., H. B. Głębicki z S., Władysław Szubert z D., Franciszek Macioł z S. B., Zbyszek Pelc z Ł., Jan Gara z W., Wanda Puchalanka z T., Michał Miazga z P., Franciszek Klimeczko z W., Józef Węgiel z O., Franciszek Klimeczko z W. II, Koło młodzieży wiejskiej z P., Józef Jekot z W., Marjan Wietrzny.

Nagrody wylosowali pp.: Ks. M. Suchodolski z T. i Marja Bernalowa z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Przy wynajmie pokoju.

— Owszem, podoba mi się ten pokoik. Tylko co to za hałas wciąż tu słychać?

— W podwórzu jest warsztat powroźniczy. Ale proszę pana po miesiącu tego turkotu już się wcale nie słyszy.

— Tak? To dobrze. To ja tu przyjdę za miesiąc.

Za dużo chodzenia.

Pewien nauczyciel został przeniesiony z jednej szkoły wiejskiej do drugiej. Ponieważ przyjaźnie odnosił się do swych uczniów, jeden z jego dawnych uczniów odwiedził go na nowej siedzibie.

— A pozdrów tam wszystkich odemnie — rzekł nauczyciel na pożegnanie.

— O panie profesorze, tobym se nogi schodził, gdybym tak chodził od chałupy do chałupy i wszystkich pozdrawiał.



Ogród Altenberga.

Wiedeński poeta Piotr Altenberg opowiadał znajomym, że zakupił sobie za miastem ogród tak duży, że go wzrokiem nie może objąć. Nie bardzo wierzono jego słowom, uważając to za przesadę, bo bliscy jego wiedzieli, że literat jest biedny, jak mysz kościelna. Aliści p. Altenberg zaprasza kilku znajomych, aby oglądali jego wielki ogród.

— Przychodzimy następnego dnia — mówi jeden z świadków — ogród okazuje się kawałkiem jałowej ziemi, trzy metry szerokim, a 5 długim, na którym coś nie coś kwitło. Kiwamy głowami, a jeden z nas zapytuje:

— Więc to ma być ten wielki ogród?

— Ano tak, wprawdzie nie jest on zbyt długi, ani zbyt szeroki — tutaj skierował wzrok w błękity na przelatujące ptaki — ale jest bardzo wysoki — musicie przyznać.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 14 grudnia b. r

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·01 do 1·60 zł.	Jałownik	od 0·80 do 1·70 zł.
Woły . .	od 1·14 do 1·82 zł.	Cielęta .	od 1·75 do 2·67 zł.
Krowy .	od 0·81 do 1·56 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·50 do 2·68 zł.	Nierogaciznę wyższej wagi	od 3·05 do 3.50

Giełda płodów rolniczych
z dnia 20 grudnia b. r.

Pszenica .	37·00—38 00	Słoma długa	8·00—9·00
Żyto .	24 00—25 00	Ziemniaki stoł.	6·00—7 00
Owies . .	19 60—20·00	Koniczyna nasienn. czer.	150·00—170·00
Jęczmień .	22·00—23·00		
Fasola biała	100·00—105·00	Mąka żytnia	41·50—42·50
Groch zwyk.	48·00—50·00	Mąka pszen.	73·50—74·50
Siano słodk.	10·50—11·50	Otręby pszen.	16·50—17·00
Łubin żółty	28 00—29·00	Otręby żytnie	16·00—00·00
Koniczpastew.	12·00—13 00	Mąka czerw.	19·00—20·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.